Sternik

dwutygodnik dla młodych
Warszawa

ROK I NR. 3 1-go GRUDNIA 1929 R. CENA 50 GROSZY.

W trosce o potęgę Polski.

Z przemówień członków Rządu o naprawie Konstytucji.

...Polski nie stać na luksus posiadania źle zorganizowanego państwa i choćby nie wiedzieć ile państw miało swe ustroje niedostatecznie gwarantujące ich siłę, nie mogą te przykłady obce w żaden sposób nas rozgrzeszać od konieczności naprawy naszego ustroju. Niestety, nietylko my, ale i wszyscy na świecie są przekonani, że nasze geograficzno-polityczne położenie wymaga od nas lepszej i silniejszej organizacji państwowej, niż je mogą mieć inne narody... *(Premier, dr. Kazimierz Świtalski).*

...Wiekowa niewola naszego narodu usposobiła nas negatywnie do każdego rządu, który na naszych ziemiach władał. Nienawiść do rządu przekazywały pokolenia pokoleniom... Zupełnie inaczej przedstawia się ta sprawa dzisiaj. Dzisiaj posiadamy wszak swój własny polski rząd... Ważność dzisiejszej chwili i zdrowa myśl o przyszłości Polski wymaga innego ustosunkowania się społeczeństwa do swojego rządu... Idea mocarstwowego stanowiska Polski niech stłumi egoistyczne ideały poszczególnych partyj... *(Minister Poczt, Inż. Ignacy Boerner).*

...Pod grozą utraty niepodległości państwa wychowanie publiczne w Polsce musi być tak prowadzone, żeby każdy Polak, zanim zostanie członkiem stronnictwa politycznego, był przedewszystkiem państwowcem. Pod grozą nieosiągnięcia nigdy trwałego mocarstwowego stanowiska Polski wychowanie publiczne musi być tak prowadzone, aby każdy w Polsce urodzony i w Polsce żyjący ukrainiec, żyd, czy niemiec, zanim zostanie świadomym pracownikiem na polu kultury swojego ściślejszego społeczeństwa, czuł i rozumiał, że ma być przedewszystkiem dobrym obywatelem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej... *(Minister Oświecenia, dr. Sławomir Czerwiński).*

...Walka o uregulowanie stosunku sejmu i specyficznych uprawnień oligarchij partyjnych do rządu, nie jest wymysłem nowym. Zagadnienie to stało w całej pełni i w całej jaskrawości już przed Polską 17—18 wieku. W zasadniczych kwestjach nic w niem nie uległo zmianie. Walka toczy się wciąż na tej samej płaszczyźnie i prawie że temi samemi metodami. Gdy najbardziej oświeceni i przewidujący mężowie stanu i publicyści wołali o stworzenie sprężystej władzy wykonawczej, zdolnej do pokonania zamachów obcych na całość i bezpieczeństwo państwa, to ówczesna pseudodemokracja szlachecka, wysługująca się egoistycznej oligarchji możnowładców, krzyczała „veto“ pod pretekstem obrony parlamentaryzmu stanowego... *(Minister Przemysłu i Handlu, inż. Eugenjusz Kwiatkowski).*

...Władza musi być silna, co nie wyklucza kontroli nad nią czynnika społecznego, i musi być trwałą, jeśli ma zapewnić ciągłość pracy państwowej... Rewizja konstytucji nie powinna i nie może być zamachem na prawa demokracji; ale zapewniając demokracji najskuteczniejsze formy kontroli nad działalnością władz publicznych, należy je sharmonizować z silnym u swych podstaw ustrojem państwa, gdyż tylko własne państwo cieszące się powagą nawewnątrz i nazewnątrz, jest zdolne zapewnić rękojmię bezpieczeństwa swym instytucjom państwowym i społecznym... Musimy dla Polski Odrodzonej zdobyć taki ustrój, któryby stwarzał rękojmię jej mocy; musimy zdobyć ustrój zdolny ją chronić od nieszczęść i klęsk w ciężkich chwilach dziejowych... Do walki tej idziemy wierni testamentowi politycznemu, wypisanemu na pergaminach wiekopomnej konstytucji 3-go maja: „Żaden rząd najdoskonalszy bez dzielnej władzy wykonawczej stać nie może“... *(Minister Sprawiedliwości, Stanisław Car).*

O ZADANIACH WSPÓŁCZESNEGO ŻYCIA.

III. Zatoczyć szersze kręgi.

Wre gorączkowe życie w miljonowej stolicy Polski. Z całego kraju pociągi przywożą do Warszawy ludzi, którzy przyjeżdżają tu uczyć się, pracować lub bawić. Każdy znajdzie w stolicy zaspokojenie swych zainteresowań i potrzeb. Teatry grają najnowsze sztuki współczesnej literatury, księgarnie i czytelnie pełne są najświeższych nowości, z katedr uniwersyteckich padają słowa o najnowszych zdobyczach wiedzy — w wielkiem mieście czujemy się w ognisku kultury i postępu. W naukowych laboratorjach, w urzędach i w biurach wypracowują się nowe metody, nowe wskazówki, które życie nasze uczynią lepsze i wygodniejsze —idziemy w pierwszych szeregach zdobyczy kulturalnych Europy.

Gdy zawita do Warszawy jaki cudzoziemiec, którego rodzina ze strachem puszczała na tę niebezpieczną wyprawę, do jakiejś dzikiej Polski, to cudzoziemiec ów nie posiada się z podziwu. W śródmieściu na ulicy zobaczy dobre bruki, czysto zamiecione chodniki, bogate sklepy i dobrze utrzymane domy. Gdy zacznie zwiedzać nasze szkoły, nasze przeróżne instytucje państwowe i społeczne, wtedy podziw jego zwiększy się jeszcze bardziej, bo zobaczy wiele rzeczy tak wzorowo urządzonych, że niewiele podobnych znalazłoby się w całej Europie. A gdy jeszcze zacznie rozmawiać z tymi, co owemi pracami kierują, to wtedy napewno będzie całe życie opowiadał o zdolnościach i o inteligencji Polaków.

A gdyby chciał jeszcze coś więcej z Polski zobaczyć, to wieziemy go do Poznania, gdzie miasto wyda mu się jeszcze bardziej „europejskie" niż stolica, której przedmieścia pozostawiają wiele do życzenia (tego się zazwyczaj nie pokazuje) oraz do Krakowa, gdzie zobaczy, że kultura Polski od dawnych wieków się datuje i zabytkami swemi wielu krajom zachodnim dorównywa.

A gdy Polak pojedzie zagranicę, delegowany na takie czy inne międzynarodowe zebranie, czy Kongres, to zawsze zjedna sobie słowa wielkiego uznania. Mówi zazwyczaj kilkoma obcemi językami, zna stosunki obcych państw, wykazuje dużą erudycję (dobrze był kształcony w polskiej szkole) i tem, co mówi o poczynaniach swego kraju, wzbudza wielki entuzjazm.

A jednak w całej tej pochlebnej opinji jest jakiś fałsz, jest jakiś zgrzyt.

Cudzoziemiec, któremu pokazujemy to, co chcemy, nie wie, że wygląd paru większych miast nie odzwierciedla stanu całego kraju, a poziom umysłowy kilkudziesięciu tysięcy ludzi nie jest poziomem całej ludności.

Parę większych miast wytwarza wciąż nowe zdobycze kulturalne, jakżeż mało jednak te ogniska promieniują wokoło. W każdej dziedzinie życia, czy to duchowej czy materjalnej, widzimy tak ogromną przepaść między małem a dużem miastem.

Gdy wjeżdżamy w ulice niewielkiego, choć czasem nawet wojewódzkiego miasta, trzęsiemy się na złych brukach lub brniemy w gęstem błocie. Już sam widok tłumu ulicznego mówi nam o wolniejszem tempie życia, mówi o mniejszych potrzebach mieszkańców. W jednej jedynej czytelni przestarzałe książki, brak tylu nowych dzieł, które były naszym pokarmem duchowym przez ubiegły rok, w kinach stare filmy — ot prowincja — mówimy pogardliwie.

A przecież właśnie ta „prowincja" a nie garść mieszkańców wielkich miast, tworzą przeciętną kultury polskiej, ta „prowincja" to dwadzieścia kilka miljonów ludzi. Czemuż tak niski jest jeszcze często poziom materjalnej i duchowej kultury tych miast. Czyja to wina? Czy tej właśnie „prowincji".

Nie, przyjrzyjmy się bliżej jej życiu. W szkole brak wykwalifikowanych nauczycieli — nikogo nie można było znaleźć, — lekarze początkujący, urzędnicy niedokształceni, a tyle tyle stanowisk nieobsadzonych... Czemuż? Czy brak nam wykwalifikowanych pracowników w tak wielu dziedzinach?

A jednocześnie w gazetach warszawskich drukuje się codzień mnóstwo ogłoszeń o poszukiwaniu pracy. Na zebraniach, w kawiarniach, w domach prywatnych spotyka się wciąż ludzi, którzy nie mają posad, lub mają stanowiska do swego wykształcenia nieodpowiednie. Ale z Warszawy wyjechać nie chcą.

Wielu jest takich, co z mniejszych miast przybyli na studja uniwersyteckie, ale potem już nie chcą miasta uniwersyteckiego opuścić. Chcą żyć zawsze w tem ognisku kultury — a przez to obniżają kulturę całości kraju. Bo jeżeli przez swą pracę zawodową i swą pracę społeczną chcemy podnieść poziom kultury naszego społeczeństwa, to nie możemy ograniczyć się do jednego tylko środowiska, do jednej tylko gromadki.

Iluż to ludzi, siedząc w Warszawie, deklamuje, że trzeba nieść oświatę masom, ale nigdy nie zgodziliby się szerzyć tę oświatę w mieście o kilkanaście kilometrów od kolei odległem. A przecież trzeba zdobyć się na odwagę tworzenia życia polskiego wszędzie tam, gdzie się ono krzewi. Mieszkańcy stolicy i ci, co do niej na studja przyjeżdżają, muszą nieść swą pracę do wszystkich skupień życia polskiego, a mieszkańcy mniejszych miast muszą usilniej starać się o kontakt ze współczesnością i o podnoszenie poziomu swoich ośrodków. Oba te dążenia muszą wyjść naprzeciw, nie należy bowiem czekać biernie na okruchy kultury centralnej, tylko trzeba ze wszystkich sił tworzyć kulturę regjonalną, tak, aby całe państwo na jaknajwyższy poziom się wzniosło.

Bo dopiero wtedy gdy wartości, zdobyte przez elitę społeczeństwa, rozszerzymy na masy, i masy te do czynnego tworzenia kultury wciągniemy, dopiero wtedy będziemy mogli mówić o Polsce, jako o jednolitej całości.

W. P.

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia Redakcja „Sternika" przesyła wszystkim czytelnikom serdeczne życzenia „Wesołych Świąt".

Z DAWNYCH WZORÓW.

(żywot Epaminondasa).

CORNELIUS NEPOS.

Epaminondas, syn Polimnidesa, Tebańczyk, pochodził z rodu znakomitego, lecz był ubogim, niczego nie odziedziczywszy po przodkach, a wykształcony był tak, jak żaden Tebańczyk. Nauczył się bowiem grać na cytrze i śpiewać przy wtórze dźwięku strun od Dionisiosa. Olympidous uczył go gry na flecie, a tańca Kallifron. Za nauczyciela filozofji miał Lysisa Tarentyńczyka, pitagorejczyka; do niego tak był przywiązany, że choć młody, przecież wolał stosunek z surowym starcem, niż przyjaźń z rówieśnikami. Nie prędzej go też opuścił, aż współuczniów swoich o tyle w naukach wyprzedził, iż łatwo można było zrozumieć, że w innych umiejętnościach również wszystkich przewyższy. Otóż to wszystko podług naszych obyczajów są rzeczy błahe i raczej godne pogardy, a tymczasem w Grecji, przynajmniej kiedyś, były przedmiotem wielkiej chwały, Gdy jako efeb rozpoczął ćwiczenia w palestrze, baczył na zdobycie nie tyle siły, ile zręczności; mniemał bowiem, że siła potrzebna jest atletom, a zręczność przydatna w rzemiośle wojennem. Dlatego najpilniej ćwiczył się w bieganiu i w zapasach, a przedewszystkiem przykładał się do szermierki.

Z tą dzielnością ciała złączyły się liczne przymioty ducha. Był bowiem skromny, przezorny, poważny, z czasu umiał korzystać mądrze, znał się na wojnie, był silny, wspaniałomyślny, a tak skrupulatny w prawdomówności, że nawet żartem nie skłamał. Był również wstrzemięźliwy i cierpliwy, w sposób godzien podziwu. Łatwo znosił urazy nie tylko ze strony ludu, lecz i przyjaciół. A przedewszystkiem był bardzo dyskretny, co niekiedy jest pożyteczniejsze od zręczności w przemawianiu. Chętnie słuchał, bo sądził, że z tego najłatwiej jest się nauczyć. To też ilekroć przybył na zebranie, gdzie toczono dysputę o sprawach publicznych, lub rozmawiano o filozofji, nigdy wcześniej nie odszedł, aż rozmowę doprowadzono do końca.

Ubóstwo znosił tak łatwo, że nie starał się zyskać niczego prócz chwały za zasługi położone wobec państwa. Nigdy nie korzystał dla siebie ze środków swoich przyjaciół, natomiast często posługiwał się niemi w celu niesienia pomocy innym w ten sposób, iż można było przypuszczać, jakoby posiadał wspólny z przyjaciółmi majątek. Jeśli się bowiem kto z obywateli dostał do wrażej niewoli, lub córka przyjaciela nie mogła być wydana zamąż z powodu ubóstwa, to wtedy zgromadzał na radę przyjaciół i stosownie do zamożności każdemu kazał składać pewną sumę. Kiedy ją już zebrał, wówczas sprowadzał tego, który był w potrzebie, do tych, którzy się składali i kazał im pieniądze wyliczać, aby ów dłużnik wiedział, ile komu jest winien.

Jego bezinteresowność została wystawiona na próbę przez Diomedona Cyzyceńczyka. Albowiem na prośbę króla Artakserksesa podjął się on przekupić Epaminondasa pieniędzmi. Przybywszy do Teb z wielką ilością złota, za cenę pięciu talentów przeciągnął na swą stronę młodziutkiego Micytusa, którego wówczas Epaminondas bardzo lubił. Micytus udał się do Epaminondasa i wyjawił mu powód przybycia Diomedona. A wówczas ten w obecności Diomedona tak mu odpowiedział: „Nie potrzeba pieniędzy. Jeżeli król pragnie rzeczy pożytecznych dla Teb, to gotów jestem uczynić je za darmo, a jeśli szkodliwych, to nie ma on dość złota i srebra. Albowiem wyrzeknę się bogactw całego świata dla miłości ojczyzny. Nie dziwię się tobie i przebaczam Ci, gdyż chciałeś mnie przekupić nie znając mnie, i myślałeś, iż jestem podobny do Ciebie; ale uchodź spiesznie, żebyś nie mogąc mnie — innych nie usiłował przekupić. A ty Micytusie, oddaj mu pieniądze, a jeśli tego nie uczynisz, to wydam cię władzom. Kiedy go Diomedon prosił, aby mu wolno było bezpiecznie dojechać, zabierając swe mienie, które był przywiózł ze sobą, odparł: „Nie mam nic przeciwko temu, lecz nie ze względu na Ciebie, a na mnie, żeby w razie obrabowania Cię nikt nie mógł powiedzieć, żem przemocą stał się właścicielem tego, czego nie chciałem przyjąć, gdy mi ofiarowano". Zapytawszy dokąd chce być odprowadzonym i otrzymawszy odpowiedź, że do Aten, dał mu konwój, żeby mógł tam bezpiecznie dotrzeć. Mało tego! za pośrednictwem przyjaciół o to się jeszcze postarał, żeby ów przez nikogo nie napastowany mógł wsiąść na okręt.

Kiedy Meneklides zarzucał Epaminondasowi, iż wydaje mu się, jakoby w sławie wojennej dorównał Agamemnonowi, ten odpowiedział: „Mylisz się sądząc, że rywalizuję z Agamemnonem. On bowiem po dziesięciu latach zdobył zaledwie jedno miasto, wspomagany przez całą Gręcję, a ja z jednem naszem miastem i w ciągu jednego dnia uwolniłem całą Grecję, zmusiwszy do ucieczki Lacedemończyków".

A oto są świadectwa, że Epaminondas cierpliwie znosił krzywdy, gdyż za wy tępek poczytywał żywić gniew przeciwko ojczyźnie. Kiedy go raz obywatele z powodu zawiści nie chcieli postawić na czele wojska, wodzem został wybrany człowiek niedoświadczony w rzemiośle wojennem, a wskutek błędów w jego postępowaniu doprowadzono do tego, że wszyscy lękali się o ocalenie wojska, gdyż zamknięte w wąwozach było przez wrogów osaczone. Wtedy dopiero zaczęto tęsknić za roztropnością Epaminondasa. Albowiem znajdował się on tam w charakterze prostego żołnierza. Gdy go poproszono o pomoc, puścił w niepamięć doznaną obelgę i wojsko z zasadzki uwolnione w całości odprowadził do domu. I nie raz jeden to uczynił. Ale najsławniejszym był czyn następujący. Powiódł on wojsko na Peloponez przeciw Lacedemończykom, a jako wódz miał dwóch kolegów, z których jednym był Pelopidas, mąż odważny i dzielny Kiedy na skutek zarzutów przeciwników politycznych wzniecono niechęć przeciw wszystkim i z tego powodu odebrano im naczelne dowództwo, a na ich miejsce mieli przybyć inni wodzowie, Epaminondas nie okazał posłuszeństwa uchwale ludu i nakłonił kolegów, aby postąpili tak samo. Zwrócił bowiem ich uwagę na to, że jeśli tak nie uczynią, to całe wojsko może zginąć z powodu niedoświadczenia wojennego i nieumiejętności wodzów. Było zaś takie prawo w Tebach, że śmiercią karano tego, kto dłużej władzę wojskową zatrzymał, niż to było prawem przewidziane. Chociaż Epaminondas wiedział, że było ono uchwalone dla dobra państwa, prze ież nie chcąc go na zgubę państwa stosować, piastował władzę naczelną o cztery miesiące dłużej, niż lud postanowił.

Gdy powrócono do domu oskarżeni o to zostali jego koledzy on zaś pozwolił im, aby całą winę zrzucili na niego i żeby utrzymywali, iż to on ich skłonił do nieposłuszeństwa względem prawa. Po takiej obronie, gdy ich od kary uwolniono nikt nie myślał, że Epaminondas będzie się bronił, bo nic nie miał na swą obronę. A tymczasem on, przybywszy do sądu, nie zaprzeczył niczemu, co mu przeciwnicy zarzucali i przyznawszy się do wszystkiego, co mówili koledzy, nie wbraniał się ponieść kary oznaczonej prawem. O to jedno tylko prosił, aby mu następujący napis na grobie umieszczono: „Epaminondas został na śmierć skazany przez Tebańczyków, gdyż zmusił ich do zwycięstwa nad Lacedemończykami w bitwie pod Leuktrami, a zanim on się stał wodzem, to żaden Beota nie śmiał nawet spojrzeć na ich wojsko w szyku bojowym, i za to że w jednej bitwie nie tylko uratował od zguby Teby, ale całej Grecji wolność przywrócił i sprawy obu stron do tego doprowadził, że Tebanie uderzyli na Spartę, Lacedemończycy zaś uważali za rzecz pomyślną, że uszli cało, a wojnę nie prędzej skończył, aż przywrócił wolność Messenie, a Spartę obległ". Gdy wyrzekł te słowa, rozległ się wesoły śmiech dookoła i żaden z sędziów nie śmiał wyrokować przeciw niemu. W ten sposób opuścił sąd, grożący mu śmiercią z wielką dla siebie chwałą.

Gdy w ciężkiej sytuacji jako wódz pod Mautineją nacierał z wojskiem zbyt ostro na wroga, Lacedemończycy poznali go. Widząc zbawienie swej ojczyzny w śmierci jego jednego, natarli nań gromadą i nie cofnęli się, aż po obustronnej zażartej walce ujrzeli, że Epaminondas, choć dzielnie walczył padł ugodzony zdala włócznią. Beotowie zostali nieco wstrzymani jego porażką, lecz nie zaniechali walki, aż pokonali opierających się wrogów.

Tymczasem Epaminondas widząc, iż odniósł śmiertelną ranę, że wyzionąłby ducha, gdyby wyciągnął z ciała żelazo, które pozostało w niem po ułamaniu się drzewca włóczni zatrzymał je tam tak długo, aż go powiadomiono, że Beotowie zwyciężyli. Gdy to usłyszał powiedział: „Dość żyłem, albowiem umieram niezwyciężony". Wówczas, po wydobyciu ostrza włóczni, ducha wyzionął.

tłum z łaciny *J. R.*

O WSPÓŁPRACY MIĘDZY NARODAMI.

Wielka Wojna przekonała ludzkość jak wielkiem nieszczęściem są zbrojne zmagania się między narodami. Żadna z wojen poprzednich, nie wyłączając najazdów Hunnów, czy Tatarów, ani wojen Napoleońskich nie kosztowała tyle krwi i cierpienia, tyle młodych żywotów ludzkich, łez, ruin wieloletniej pracy, żadna nie wywołała takich wstrząsów ekonomicznych, które do dziś dnia nie pozwalają na ustabilizowanie się stosunków gospodarczych, szczególnie w Europie

Nasz stosunek *uczuciowy* do wojny musi być trochę inny, aniżeli tych ludów „zwycięskich", którym *zwycięstwo* przyniosło, mimo odzyskania pewnych prowincyj, ubytek ludności, ruinę i zniszczenie olbrzymich obszarów, czy też niemilknące bezrobocie. Nam wojna w pierwszym swym etapie dała oddawna śnioną Niepodległość, w drugim tę Niepodległość utrwaliła i granice Państwa wytyczyła. A niema ofiar dość ciężkich, któreby się nie opłaciły dla zdobycia tego celu. To też choć niejedna rodzina opłakuje stratę bliskich osób, czy zniszczenie domowego ogniska, choć *rozumowo* zdajemy sobie sprawę z okropności wojny, czujemy dla niej pewną *wdzięczność*.

Ale nie trzeba by ta wdzięczność — uzasadniona do zmagań wojny 1914—1920 r. — zamieniła się w uczucie *dla wojny* wogóle.

Jeżeli do wojny kiedykolwiek przyjdzie, a trudno uwierzyć, by ta ewentualność miała być wykluczona, będzie ona straszniejsza i bardziej niosąca zniszczenie niż kiedykolwiek. Straszliwe wynalazki dokonane w końcu Wielkiej Wojny i po niej, doskonalenie środków lotniczych i gazowych, szykowanie nieużywanego dotąd środka walki — bakteryj chorobotwórczych świadczą, że w przyszłych bojach będą już brały udział nie armje, a całe społeczeństwa i że kto wie, czy przy rozpętaniu sił, których ci co je rozpętali nie będą w stanie okiełznać, cała dzisiejsza cywilizacja nie pogrąży się w odmęcie barbarzyństwa.

W obawie przed tem niebezpieczeństwem są prądy dążące do natychmiastowego rozbrojenia moralnego i materjalnego. Prądy te są jednak niebezpieczne, jeżeli nie uwzględniając całokształtu stosunków politycznych światowych, dążą do rozbrojenia wewnątrz poszczególnego państwa; są niebezpieczne nietylko dla danego państwa, ale i dla sprawy pokoju wogóle, bo państwo słabe zawsze będzie nęcić silniejszych, nierozbrojonych sąsiadów, i o ten łatwy pozornie łup rozpętać się może niebywała zawierucha wojenna.

Polska ma zbyt wiele do dogonienia za czas, w którym pod jarzmem trójzaborców nie mogła się swobodnie rozwijać, aby trwały pokój nie był dla niej jednym z najcenniejszych skarbów. Ale rezygnować dla tego skarbu z wojennej siły Państwa, to trzymać ów cenny skarb w otwartej szufladzie.

Bowiem z trzech czynników, na których opiera się pokój: 1) siła wewnętrzna i zbrojna państwa, oparta nietylko na materjalnych zbrojeniach, ale przedewszyskiem na duchu obywateli; 2) system t. zw. „bezpieczeństwa" oparty na szeregu umów międzynarodowych i 3) współpraca międzynarodowa — pierwszy czynnik jest niewątpliwie dzisiaj jeszcze najważniejszym. Nie należy jednak lekceważyć i pozostałych czynników, a zwłaszcza współpracy międzynarodowej, która może stać się w przyszłości splotem wiązadeł najsilniej podtrzymujących strop światowego pokoju.

Współpraca międzynarodowa opiera się nietylko na przesłankach natury etycznej, będących reakcją na tragizm Wielkiej wojny. W dzisiejszej dobie dziejowej poszczególne państwa i narody nie mogą żyć w samotności, oddzielone od siebie jakimś politycznym „chińskim murem". Zbyt są skomplikowane stosunki gospodarcze, społeczne, komunikacyjne itd. aby każda ważniejsza zmiana, zachodząca w pewnym ustroju, nie odbijała się natychmiast na ustrojach sąsiednich, a nieraz i bardzo odległych.

Uderzający przykład mamy w dziedzinie ekonomicznej. Pamiętamy wszyscy okres inflacji, zalewający szereg państw środkowej i wschodniej Europy, wiemy o współzależności spadku marki niemieckiej i polskiej. Nadmiar obsiewu zboża na całym świecie odbija się dotkliwie na spadku cen tego produktu w Polsce. Ostatni krach finansowy w Nowym Yorku zatrząsł giełdami w Londynie. Amsterdamie i nawet w najmniej zależnym od amerykańskiego złota Paryżu. A czyż rozkład pociągów międzypaństwowych, lub walka z chorobami zakaźnemi nie obchodzą wszystkich narodów?

Zresztą sam rozwój dziejów wskazuje, że ludzkość dąży do skupiania się w coraz większe zespoły, że z pierwotnego rozproszkowania zbliża się coraz bardziej do uniwersalizmu. Już człowiek pierwotny znużony ciągłą wojną wszystkich przeciwko wszystkim, szukał porozumienia z ludźmi. z którymi wiązała go wspólna krew. Z biegiem wieków rody łączyły się w szczepy, w plemiona, z nich zwolna, wśród ciężkich nieraz walk formowały się narody.

Z drobnych feudalnych ksiąstewek powstawały potężne państwa.

Nic nie wskazuje na to, aby ten proces dziejowy był zakończony. Inne tylko, powolniejsze, lecz głębsze są tory jego rozwoju. Dążenia do uniwersalistycznego państwa, bliskie urzeczywistnienia przez Rzymian, nie znalazły swego rozwiązania w politycznej płaszczyźnie. Padły mocarstwa Karola Wielkiego, Ludwika XIV i Napoleona. Ostatnia próba hegemonji jednego państwa, dokonana przez Niemców kosztem olbrzymiego wysiłku wojennego w latach 1914—1918 wykazała, że stworzenie wszechświatowej organizacji politycznej drogą podboju jest nie do urzeczywistnienia.

Jeszcze bardziej efemeryczne okazały się systemy układów międzynarodowych na czysto politycznych podstawach. Różne Ligi Augsburskie, czy Święte Przymierza minęły nie pozostawiając nawet głębszego śladu w dziejach ludzkości.

Również i Liga Narodów wykazuje słabość swych poczynań na terenie polityki międzynarodowej. Natomiast w szeregu dziedzin, w których realizuje współdziałanie narodów na konkretnych terenach pracy (Międzynarodowe Biuro Pracy, Instytut Współpracy Umysłowej, walka z handlem kobietami, walka z handlem narkotykami itd. itd.) stanowi olbrzymi i cenny rzeczywiście krok naprzód ku uniwersalistycznemu społeczeństwu.

Stany Zjednoczone dzięki potędze swej kultury technicznej i kapitału doprowadziły niemal do faktycznej jednolitości kontynentu amerykańskiego.

Głosy o stworzeniu Pan-Europy jako siły przedewszystkiem ekonomicznej, zdolnej do współzawodnictwa z owemi dwoma anglosaskiemi olbrzymami, przestały padać wyłącznie z ust ludzi, którzy w ruchu tym widzieć chcieli przedewszystkiem rewizję wersalskiego traktatu i — jeśli Pan-Europa nie jest bliską urzeczywistnienia w dotychczasowej, czysto politycznej koncepcji — to kto wie, czy nie będzie stanowiła ona koniecznego etapu na drodze do zorganizowanego w skali światowej społeczeństwa przyszłości.

Aż wreszcie nadejdzie może dzień, kiedy współpraca między narodami ogarnie tyle różnych dziedzin, iż pomimo wszelkich różnic i antagonizmów politycznych i narodowościowych, wojna stanie się zupełnie niemożliwością. Wtedy uniwersalistyczne państwo — zachowując odrębności ustrojów politycznych — stanie się de facto rzeczywistością. I jest już rzeczą dla rozwoju świata obojętną, czy i w jakiej formie prawo ten stan faktyczny uświęci.

Historyczne i ekonomiczne rozumowanie zaprowadziło nas w daleką przyszłość. Tymczasem jednak, aby współpraca narodów mogła się realizować i nie była brutalnie przerwana przez jakiś niespodziewany, a bezsensowny wybuch, musimy być tak silni orężnie, aby żadnemu nieprzyjacielowi nie opłaciła się napaść na nas Ci natomiast, którzy w szczerem umiłowaniu pokoju widzą uszczęśliwienie ludzkości, zamiast rzucać niebezpieczne pacyfistyczne frazesy i zwalczać budżet wojska lub przysposobienie wojskowe, niech lepiej ograniczą się w dziedzinie swej twórczości naukowej, artystycznej, czy społecznej do nawiązywania trwałej współpracy z pokrewnymi im duchami u obcych. Nic nie jest bowiem ważniejsze dla pokoju, jak istotne współdziałanie u podstaw, a nic groźniejszego jak pacyfistyczna, nie licząca się z twardemi prawami życia, deklamacja.

Każdy z tych co dzisiaj wkraczają w życie, winien dążyć do tego, aby nie potrzebować nigdy z bronią w ręku bronić swojej ojczyzny. Ale jednocześnie musi być zdecydowany, jeżeli zajdzie tego potrzeba, umieć jej bronić jak najlepiej i życie swoje za ojczyznę położyć. A im to obcy będą lepiej wiedzieli — tem mniej się będą kwapili, aby nam tę potrzebę narzucić.

— *w. -ski.* —

KLĘSKA BEZDOMNOŚCI.

Miasta nasze przeżywają w niezwykle ostrej formie kryzys mieszkaniowy z jego najbardziej smutnym objawem — bezdomnością.

Smutne to zjawisko obserwujemy przedewszystkiem w stolicy. Mamy tu wszelkiego rodzaju schroniska dla bezdomnych, poczynając od znośnych, ale w znikomej liczbie istniejących, tanich mieszkań miejskich, poprzez straszliwie przetłoczone baraki, potworne w swym niesamowitym brudzie i ciasnocie, pofabryczne domy dla bezdomnych, aż do niewiarogodnej kolonji na wydmach żoliborskich.

Wydma żoliborska, na której w całej pełni niewypowiedzianej nędzy rozłożyła się kolonja ludzi bezdomnych, należy do najbardziej zawstydzających zjawisk życia stolicy, szarpiących sumieniem wszystkich jej obywateli.

W porównaniu z warunkami mieszkaniowemi tych ludzi, których warunki bytu porównać można chyba z życiem jaskiniowem pierwotnego człowieka, luksusem niemal nazwaćby można mieszkania w barakach miejskich, aczkolwiek wiemy, że „luksus" ten pachnie potem stłoczonych ludzi, potworną ciasnotą i brakiem prymitywnych nawet urządzeń.

Kiedy, idąc wzdłuż miasta baraków na Żoliborzu, minie się wreszcie dom ostatni i ogrodzenie z kolczastego drutu, wychodzimy na wydmy żoliborskie, pocięte głębokiemi dołami. I naraz oczy człowieka uderza dziwny widok: w głębokiej na półtora metra kotlinie rozłożyli się niemal symetrycznie szerokim obozem ludzie, których nieszczęśliwy los skazał na najstraszniejszą nędzę.

W miejscu, gdzie obrywa się ziemia, długim szeregiem przylepiły się chaty lepione z gliniastej ziemi. Sklepane zostały pracowitemi rękoma w nieforemny półokrągły kształt. Aby było cieplej — dach i boki lepianek przykryto starannie staremi, oberwanemi kawałkami papy, poprzyczepianemi do gliniastych ścian różnemi przemyślnemi sposobami. Dach z poszarpanej papy przymocowano staremi garnkami i większemi kamieniami. Za silniejszym podmuchem wiatru cała ta dziwaczna dekoracja sfruwa na ziemię. Gdzieniegdzie ściany z ziemi chroni i podpiera stara przykrywa od koszyka, paliki drzewa, czy też —i to już jest wyrazem luksusu — drewniane szalowanie. Małe okienko — zwyczajnie wstawiony w ziemiste obramowanie, kawałek szyby — przepuszcza do wewnątrz nieco światła. Drzwi należą tu do rzeczy rzadko używanych. Zastępują je bądź podarte płachty, bądź luźna krata, zrobiona z patyków i pokryta wzorzystą „makatą" z przeróżnych resztek materjałów.

Każda chata ma liliputie wymiary, 2 metry. Najistotniejszą częścią urządzenia jest prymitywny gliniany piec z wysadzonym ponad dach blaszanym kominem.

W tych gniazdach jaskółczych mieszkają całe rodziny z dziećmi. Chat jest kilkadziesiąt.

Przed niektóremi „domami" wystawiane są na okres dnia doniczki z roślinami pokojowemi. W „mieszkaniu" tak mało światła i powietrza, że rośliny umierają... I tam, gdzie nie mogą żyć rośliny — tam żyją ludzie dorośli i dzieci... Czasem i zpośród nich ktoś umrze, ale na to niema już rady.

Mieszkańcy wydmy żoliborskiej rekrutują się w przeważnej części z pośród rodzin, wyeksmitowanych za niepłacenie komornego, lub z powodu niebezpieczeństwa zawalenia się domu i t. p. Zdarza się wśród nich czasem typ podejrzany, ukrywający się przestępca lub niewiadomo z czego żyjący włóczęga. Czasem zamieszkuje lepiankę „spekulant" mieszkaniowy, kandydat na niebieskiego ptaka. Sprzedał za dobry grosz swoje ciasne ale własne mieszkanko gdzieś w mieście i wprowadził się do „miasta" jaskiniowców, czekając, rychłoli Magistrat przydzieli mu miejsce w barakach dla bezdomnych, za które przecież płacić odstępnego nie trzeba, a czynsz miesięczny wynosi raptem parę złotych. Ale — bądźmy w miarę surowi i w miarę pobłażliwi: tych „spekulantów" wydaje także nędza i katastrofalny brak mieszkań.

Najgorzej w tych warunkach dzieje się, rzecz prosta, dzieciom, które więdną i marnieją fizycznie. To też niezależnie od rozwiązania sprawy braku mieszkań, niezależnie od przeniesienia tych nieszczęśliwych ludzi do schronisk miejskich, w których zresztą życie dzieci układa się również niemiłosiernie twardo i smutno, — obowiązkiem społeczeństwa jest — zająć się przedewszystkiem sprawą dzieci bezdomnych.

Na Żoliborzu, w mieście baraków, założono niedawno z inicjatywy p. Marszałkowej Piłsudskiej w specjalnie zbudowanym drewnianym budynku, świetlicę dla dzieci i przedszkole. Czyn niezwykle doniosły i wielkiej użyteczności społecznej, jeśli chodzi o wychowanie i opiekę nad dziećmi bezdomnych.

Mieszkańcy Warszawy winniby zdobyć się na więcej takich czynów i założyć podobne świetlice i przedszkola przy innych schroniskach.

Własne pole pracy mieć może tutaj także i młodzież stolicy, która przez swe liczne organizacje szkolne i pozaszkolne winna zająć się dziećmi bezdomnych. I to nietylko w sensie niesienia jej pomocy materjalnej, przygotowaniu gwiazdki i podarunków. Młodzież nasza może otoczyć dzieci te opieką moralną, zorganizować im na pobliskich terenach zabawy, gry i t. p., jak to czynią niektóre drużyny harcerskie stolicy.

Gdybyście zobaczyli raz smutne dzieci bezdomnych, apatycznie siedzące nad rynsztokiem, brudno i wolno toczącym się obok schroniska, zmizerowane i wciąż potrącane przez wszystkich, wszystkim zawadzające w domu i nigdzie na całym wielkim świecie nie mające własnego spokojnego do zabawy kąta pod stołem — pojęlibyście sami, ile to małym wysiłkiem zrobić można dobrego tym, których obłudnie nazywamy „naszemi milusińskiemi"...

K. M.

WOJNA.

Kiedy się zaczynała, to entuzjazm wybuchł.
Urządzano pochody, krzyczano namiętnie.
Zgorączkowane twarze patrzyły przez szyby
Na miasto rozszalałe, wesołe, odświętne.

A potem była cisza — skwarne dni lipcowe,
Czy może mroźny grudzień — nie wiem. Na ulicach
Zastukały miarowo kompanje marszowe,
Po zaułkach się snuła krwawa tajemnica.

I przez długie miesiące w okien szybach czarnych
Zrzadka, trwożnie migały smutne ludzkie twarze,
Tylko kiedy przyjeżdżał pociąg sanitarny
Tłum się zbierał na cichych ulic trotuarze.

A gdy zawarto pokój, to znów było święto
I znów wybuchł entuzjazm dziki, niespokojny.
Powracające wojska kwiatami przyjęto
I było tak wesoło, jak w pierwszym dniu wojny!

Tylko w sierocych domach poległych żołnierzy,
Co spoczęli w dalekim i nieznanym grobie,
Czekano bezsensownie nie chcąc prawdzie wierzyć
I modliły się płacząc kobiety w żałobie.

Michał Ochorowicz.

Numer dzisiejszy „Sternika" jest ostatnim mumerem, rozsyłanym okazowo. Pierwszy numer styczniowy będzie rozesłany tylko tym, którzy wpłacą prenumeratę do Administracji lub na konto P. K. O. 21355.

ZAGADNIENIE CHARAKTERU.

Wiek XX urodził się poprostu pod znakiem charakteru. Wprawdzie na początku tego stulecia niektórzy — jak np. wykładający w Pradze Czeskiej prof. Ehrenfels — wołali wielkim głosem o „żółtem niebezpieczeństwie", które zagraża jakoby całej Europie i wskazywali na obszar Chin, na ogromną i tanią pracę żółtych robotników i na ich olbrzymi wzrost liczbowy... Wprawdzie — zdjęci strachem przed liczbą — malowali przerażający obraz masy wschodniej, idącej na podbój Europy i europejskiej kultury — gdy tymczasem — wiek nasz miał wykazać, że ilość zamieszkiwanych kilometrów kwadratowych i liczebność danego obszaru nie decydują wyłącznie o zwycięstwie.

Bo oto przyszło niespodziewane zwycięstwo Japonji nad Rosją. Dzienniki ówczesne na samym początku tej wojny dawały podobiznę olbrzymiego Rosjanina i małego, do kostki mu sięgającego, Japończyka i umieszczały pod rysunkiem retorycznie pytanie: „Czyż można wątpić, że o tyle większy musi zwyciężyć?".

Tymczasem — życie wykazało, że obok mięśni, ilości żołnierza, i obszaru jest coś, o czem niezawsze pamiętają czytelnicy pism codziennych. Jest w każdym człowieku siła, która może stać się potęgą niezgłębioną i niezwyciężoną, jeśli uformuje się w charakter, służący wielkim celom i ożywiony wielkim entuzjazmem.

Przykład Japonji wskazał narodom, że rywalizacja między innemi iść będzie obecnie innemi drogami: zwycięży ten naród, którego obywatele będą mieli więcej pięknych i silnych charakterów i ten tylko naród będzie iść na czele, którego patryjotyzm i inne siły ducha będą naprawdę potężne.

Dla nas, którzy jesteśmy spadkobiercami polskiej przeszłości — to rzecz jasna. Nie żyłaby dziś Polska, nie byłaby wolna i wielka, gdyby nie charakter, entuzjazm i żywe pielęgnowanie ideału przez tych, którzy szli do Polski przez długie lata — z zapomnieniem o sobie.

Rzecz jasna — a jednak wspomnieć warto.

A kultura dzisiejsza — kto wie — czy nie w wyższym stopniu opiera się na charakterze ludzkim, niż kiedykolwiek. Dziś — gdy ziemi wyrywamy coraz zazdrośniej ukrywane tajemnice, gdy zdobywamy nowe tereny okolic podbiegunowych, a, na podstawie wielu lat pracy teoretycznej, próbujemy ciepło ziemi zmienić na energję mechaniczną — dziś wszystkie postępy kultury zawdzięczamy — człowiekowi z charakterem. Pomyślmy: ci, którzy zdobywają nowe tereny, lub wylatują w świat na nowych, tańszych, czy szybszych motorach — mają też ludzkie nerwy i przeżywają ludzki strach. I gdyby nie mieli biernego lęku zamienić na moc pokonywania niebezpieczeństw, gdyby — słowem — nie mieli charakteru — zostaliby w domu, dla „świętego spokoju".

Obok „świętego spokoju" — jest jednak i wciąż trwa „święta wojna" — to znaczy zmaganie się człowieka o własny charakter. Walkę tę toczy wielu młodych ludzi, o wiele więcej, niż przypuszczają moralizujący pesymiści.

Współczesna literatura psychologiczna, etyczna i pedagogiczna przychodzi z pomocą w tych sprawach. Mamy dziś wiele książek, które pouczają, czem jest charakter i jak go zdobyć.

Sam wyraz charakter wywodzi się od słowa greckiego χαρακτηρ (charakter), które oznacza znak szczególny, wytłoczony na monecie, lub znak na pieczęci woskowej, różniący jedną monetę od drugiej, czy jedną pieczęć od drugiej. I my dziś rozumiemy, że charakter, to zbiór właściwości, dla danego człowieka znamienny, różniący go od innych ludzi, zbiór właściwości, które się w duszę ludzką wtłoczyły. Stąd wynika, że charakter przyznajemy tym osobom, których postępowanie ma cechę stałości.

Wśród tych właściwości, niektóre zwracają szczególnie uwagę. I tak — zmarły przed pięciu laty prof. Lucjan Zarzecki — w charakterze podkreśla następujące składniki: 1) samowiedza, 2) czynna postawa wobec życia, 3) wyrobienie wewnętrzne i 4) idea ogólna, porządkująca życie.

Samowiedza — to wiedza o sobie: świadomość, dlaczego czegoś chcemy, lub coś robimy. To zarazem umiejętność stanięcia w prawdzie wewnętrznej. Jeśli chłop składa pieniądze i wie, na co, naprzykład wie, że składa na nowe 2 morgi gruntu — ma samowiedzę. A jeśli człowiek nawet wykształcony — mijając się z prawdą ze strachu, czy dla uniknięcia przykrości — mówi sobie, że czyni

---

O. HENRY.

DWIE SZKOŁY.

2)

Przekład z angielskiego
Stanisławy Kuszelewskiej

Newada podniosła z nad rękawiczek spokojne, niezmęczone, szafirowe spojrzenie.

— Nikt nie pisze do mnie nic takiego, czegoby wszyscy czytać nie mogli — powiedziała. — No, zdecyduj się, Basiu. Może Gilbert zaprasza nas znowu na somochodową przejażdżkę.

Ciekawość może wiele. A jeszcze więcej zazdrość. Oba uczucia (zupełnie słusznie) rodzaju żeńskiego. Barbara rozerwała kopertę, robiąc trochę pogardliwą, trochę zmieszaną minę.

— Dobrze, kochanie — powiedziała przytem. — Przeczytam, jeśli sobie tego życzysz.

Wyjęła arkusik i pochłonęła go skwapliwiemi oczyma, poczem przeczytała raz jeszcze spokojniej, obrzucając Newadę szybkiem, wnikliwem spojrzeniem. Newada jednak zdawała się świata nie widzieć poza rękawiczkami, listy zaś od początkujących malarzy uważać za wieści z Marsa.

Przez kilkanaście minut Barbara przyglądała się Newadzie dziwnie badawczo. Potem maleńki uśmieszek, który rozsunął wargi zaledwie o ułamek milimetra i o tyleż zwęził oczy — przemknął przez twarz panienki, jakby przynosząc olśniewający pomysł.

Od początku świata żadna kobieta nie była tajemnicą dla drugiej. Szybko, jak piorun, wtargnie natychmiast do serca i umysłu swej siostry, wyrwie jej klucz najskrytszych pragnień, najtajniejszych życzeń, zdejmie ukryte znaczenie ze słów pozornie najprostszych, niby włosy z grzebienia i rozetnie między palcami, uśmiechając się sardonicznie, zanim puści je na wiatr pogardy.

Barbara zdawała się wahać.

— Doprawdy, Newado — powiedziała z lekkiem zakłopotaniem, — nie powinnaś była nastawać na przeczytanie przezemnie tego listu. Pewna jestem... pewna jestem, że nie przeznaczony był dla żadnych obcych oczu.

Newada zapomniała na chwilę o rękawiczkach.

— W takim razie przeczytaj głośno! — zawołała. — Skoroś już czytała, nic to nie zaszkodzi. Jeśli pan Warren napisał do mnie coś takiego, czego nikt wiedzieć nie może, jest to dla mnie jedną więcej przyczyną, żeby wiedzieli o tem wszyscy.

— Dobrze — odrzekła Barbara. — Oto jak brzmi list: „Najukochańsza Newado! Przyjdź do mojej pracowni dzisiaj o północy. Nie zawiedź!".

Barbara wstała i rzuciła list na kolana Newady.

— Strasznie mi przykro — wyrzekła — że się mimowoli dowiedziałam. To zupełnie nie podobne do dawnego Gilberta. Widocz-

jedynie z altruizmu, by innym oszczędzić przykrości — to taki człowiek nie ma samowiedzy.

Jest zatem samowiedza, to znaczy prawdziwe zdawanie sobie sprawy ze swoich chęci, motywów swego działania, koniecznym składnikiem charakteru. Jest ona razem uczciwością, najsubtelniejszą, bo — z sobą samym i wobec siebie samego.

Czynna postawa wobec życia — to skłonność do reagowania czynem na otaczające nas zjawiska. Obrazy, jakie widzimy, lub o jakich słyszymy, wyzwalają w nas energję, która może zużyć się na działanie, czy na obmyślanie działania, albo wyłącznie na przeżywanie uczuć.

W pierwszym wypadku jednostka wykazuje czynną postawę wobec życia (działa, planuje działanie), w drugim wypadku uczuciowy, czasem wprost sentymentalny do niego stosunek .Gdy stanie się coś groźnego, niektórzy ludzie załamują ręce, stają bezradni najpierw, potem złamani i bezsilni, inni — mimo rozpaczy — biorą się do pracy, myślą o wyjściu z sytuacji, mają skłonność do pokonania trudności. Gdy wpoprzek ich planów stanie jakaś przeszkoda — chcą ją obejść, zamyślają „przetrwać najcięższe", lub wydają z siebie taką moc energji, by przeszkodę usunąć, zmóc.

Wyrobienie wewnętrzne — to kultura umysłu, uczucia i woli, zdobyta nieraz olbrzymim trudem. Człowiek wyrobiony odznacza się krytycyzmem, to znaczy sądów niesprawdzonych nie rozprzestrzenia, — wszystkim słyszanym absurdom wiary nie daje, — przywykł już do trudu rozumowania i szuka uzasadnienia głoszonych sądów. Słowem: za wypowiadane sądy bierze odpowiedzialność; cechuje go dążenie do prawdy w myślach i mowie. Człowiek wyrobiony umie żywo współczuć z innymi i umie złożyć ofiarę ze swoich przyjemności i korzyści, jeśli tego wymaga cudze dobro. Obok uczuć przelotnych, jak radość na widok bukietu kwiatów na wiosnę i ptaków — żywi niektóre uczucia głęboko i trwale. Zawsze cieszy się postępami w rozwoju swojego państwa, — kocha swój zawód, ma trwałe przywiązanie do rodziny, do przyjaciół... O woli wyrobionej każdy z nas tyle już myślał, każdy wie, że temu się ją przyznaje, kto wogóle postanawia, postanawia trwale, mocno, to znaczy: czuje się swem postanowieniem związany na czas dłuższy i mimo przeszkód, jakie na drodze do spełnienia tego postanowienia stoją — nie wyrzeka się go wcale.

Jest już tego dużo, ale — brak jeszcze czegoś, co linję nadaje życiu, co czyni, że nasze życie ma swój kierunek, swoją fizjonomję. Brak czegoś, co uzgadniałoby nasze czyny, co stawiałoby nam swoje wymagania. Tym składnikiem — jest idea, organizująca nasze życie wewnętrzne. Może nią być — owocna służba swemu państwu, umiłowanie nauki, zawodu — zresztą to tylko przykłady: i literatura i życie, i nasze wreszcie cele najwyższe wskazują nam, jak liczne mogą być idee naczelne, organizujące życie.

Współczesna nam literatura bardzo poważnie rozpatruje metody kształcenia charakteru, którego w wysokim stopniu wymaga życie współczesne i którego pragną dla siebie całe zastępy ludzi. Uczony niemiecki, Kruse, uważa, że pierwszym bodaj czynnikiem w pracy nad charakterem jest: jasne, wyraźne chcenie. A drugim zaraz: porównywanie naszych planów z ich wykonaniem.

Wyraźne chcenie oddala niebezpieczeństwo niejasności, kto wyraźnie chce, czyni pierwszy krok do zdobycia samowiedzy. A kto porównywa plany z wykonaniem — zdobywa świadomość swoich sił i unika okropnego niebezpieczeństwa: mianowicie wiary, że zrobił już to, co jedynie zamierzył.

Ludzie, pracujący nad sobą, myśli tu zaczęte rozwiną niewątpliwie i pogłębią badając siebie, obserwując innych i — zdobywając szerszą wiedzę teoretyczną o przedmiocie.

L i t e r a t u r a:

Payot: Kształcenie woli.
Förster: Lebensführung.
Saxby: Kształcenie postępowania.
Kruse: Lebenskunst.
Kruse: Ich will! Ich kann!
Zarzecki: Charakter i wychowanie.

M. Linowski.

Analiza własnego charakteru i własnych zdolności konieczna jest dla zdecydowania o drodze swego życia.

Wkrótce w szeregu artykułów poruszymy w „Sterniku" zagadnienie wyboru zawodu.

nie zaszła jakaś omyłka. Uważaj, że ja o niczem nie wiem, kochanie. Pójdę teraz do siebie na górę. Bardzo mnie głowa boli. Pewna jestem, że źle zrozumiałam ten list. A więc Gilbert zanadto się podochocił przy obiedzie. Pewnie jutro przyjdzie i wytłomaczy. Dobranoc!

IV.

Newada wyszła na paluszkach do hallu, żeby słyszeć jak Barbara zamyka drzwi od swojej sypialni. Bronzowy zegar w bibljotece stwierdził, że godzina dwunasta minęła już piętnaście minut temu. Newada podbiegła do frontowych drzwi, otworzyła je, zatrzasnęła za sobą i skoczyła prosto w śniegową zamieć. Pracownia Gilberta odległa była o sześć kwartałów.

Białe, ponure siły burzy zaatakowały miasto drogą powietrzną od strony buntowniczej East River. Śnieg głębokości jednej stopy leżał już na chodnikach, a wciąż nowe jego mioty kładły się pod ścianami oblężonego miasta, wznosząc się do góry niby miękkie schody. Wielki bulwar wymarły był i cichy, jak ulica Pompei. Od czasu do czasu przesuwała się dorożka, niby białoskrzydły żaglowiec przez srebrny od księżyca ocean; rzadziej śmigały amochody, rozbijając zwały śniegowe, niczem łódź podwodna — fale.

Newada nurkowała w zamieci, słaniała się na wietrze. Spoglądała ku górze na gniewny podniebny łańcuch kamienic, wzniesiony niby szczyty górskie ponad dolinami ulic i zabarwiony teraz przez mdłe światła latarń i zmrożone opary na szaro, czarno, sino i zielonkawo.

Tak bardzo podobne były do gór rodzinnych, że Newada poczuła żywą radość, jakiej nigdy nie dostarczył jej wspaniały, bogaty dom stryja.

Zadrżała nagle i przystanęła na widok olbrzymiej postaci policjanta na rogu.

— Ej tam! jejmościanko! — zawołał stróż porządku. — Może już trochę zapóźno na spacerki, hę?

— Ja... ja tylko do apteki... — odrzekła przebiegając Newada.

Skręciwszy na wschód, Newada musiała zwolnić kroku, bo wiatr ciął teraz prosto w twarz. Wobec tego dziewczyna iść poczęła zygzakiem. Ale sprężysta była i mocna jak młody świerczek i gięła się pod wiatr równie uroczo. Nagle znajomy, ogromny dom wyrósł w zamieci przed oczyma Newady, niby stok górski ponad dobrze znanym Kanjonem.

Przybytek „businessu" i jego wrogiej sąsiadki, sztuki, cichy był i ciemny. Windę zatrzymywano o dziesiątej.

Newada wdrapała się na ósme piętro i zastukała mocno do drzwi, oznaczonych numerem „89". Była tu już kilkakrotnie ze stryjem Jeromem i Barbarą.

Gilbert otworzył sam. W ręku miał ołówek, zielony daszek nad oczami i fajkę w ustach. Fajka wypadła na podłogę.

— Czy się bardzo spóźniłam?... — zapytała Newada. — Przy-

JEDEN DZIEŃ NAD PACYFIKIEM.

Urywek ze wspomnień z wycieczki zoologicznej do Meksyku, w lecie roku bieżącego.

Po krótkim, ale bardzo owocnym dla naszych poszukiwań pobycie w Colimie, wyruszyliśmy na jeden dzień do Manzanilli nad Oceanem Spokojnym, aby zebrać w pasie nadmorskim pewne interesujące nas okazy zoologiczne. Wyjechaliśmy koleją o 7 rano. W pociągu nie było wielkiego tłoku mimo, że między Colimą a Manzanillo kursuje tylko jeden pociąg na dobę. W jednym wagonie z nami jechał młody profesor Japończyk z żoną, z którym poznajomiliśmy się w Colimie. Japończyk oświadczył nam, że jedzie z Manzanillo do Peru, nie omieszkał podkreślić z dumą, że jedzie wielkim statkiem japońskim. Za Colimą wjechaliśmy między wzgórza, gdzieniegdzie pokryte lasami, przeważnie jednak zarośnięte krzewami, w dolinach widać było plantacje kukurydzy i trzciny cukrowej, przy osadach ludzkich rzucały się w oczy blado-zielone gaiki bananów, strzeliste pnie palm i gąszcze ciemnych mimoz. Mijamy głębokie wąwozy, w których płyną bystre strumienie, przesuwają się przed naszemi oczyma setki stożków wygasłych wulkanów. Po trzech godzinach tej dość urozmaiconej podróży, wjeżdżamy do Cuyutlanu, znanej w Meksyku, podobno modnej miejscowości kąpielowej. Ze stacji morza nie widać, do uszu jednak dobiega charakterystyczny szum fali. — No, nareszcie jesteśmy nad morzem, ta bliskość jego nie daje nam jednak ochłody, w wagonie jest bardzo gorąco i duszno. Za Cuyutlanem widzę po raz pierwszy dużą plantację kokosów — cały las pięknych wysokich palm, dźwigających wielkie zielone orzechy. Po drugiej stronie toru ciągnie się wielka plantacja ananasów. Pociąg mija szybko żyzne okolice Cuyutlanu i wjeżdża na nizinę nadmorską jałową, pokrytą suchemi pastwiskami i urozmaiconą zaroślami mimoz. Z suchych łysin na pastwiskach wiatr od morza niesie chmury pyłu, służba kolejowa zamyka w wagonach okna, mimo to w ciągu kilkunastu minut wszystko pokrywa się ciemno-szarą powłoką, przez okna wagonu nic nie widać, chmury pyłu, jak gęsta mgła, zasłaniają wszystko. W wagonie niema czem oddychać, dopiero teraz rozumiem, co się nazywa upałem tropikalnym. Ta podróż w chmurze pyłowej trwała jednak, na szczęście, niedługo, znów zobaczyliśmy przez okna zielone zarośla, na horyzoncie zjawiają się góry i wkońcu błyska wielka tafla wody. Pociąg zbliża się do niej i naraz wpada na groblę, po jednej i po drugiej stronie toru widać jakby wielkie jeziora, a przed pociągiem łańcuch wzgórz z rozsianemi domkami zamyka nam drogę. To laguna Cuyutlanu z półsłoną wodą, łącząca się w czasie burz z oceanem, domy na wzgórzach to już przedmieścia Manzanillo. Pociąg przebywa w kilka minut groblę, wpada w wąską gardziel między wzgórzami. Przed nami błyszczy oślepiająco, aż po linję horyzontu, błękitny bezmiar oceanu. Wysiadamy, stacyjka malutka, strasznie nieporządna stoi w obrębie portu, osłoniętego od lądu łańcuchem wysokich wzgórz. Na zboczach pną się małe drewniane domki. Całe miasteczko robi wrażenie czegoś nie na serjo, wygląda jak model miasteczka w atelier kinematograficznem. Port wielki i bardzo wygodny, ale nie widać żadnych nowożytnych urządzeń portowych, ani żórawi motorowych, ani składów. W porcie stoi jeden niewielki statek przybrzeżnej linji meksykańskiej i jeden przedpotopowy torpedowiec, poza tem pustka i cisza. Na stacji kolejowej stoi kilka wagonów towarowych. Idziemy do zachwalanego hotelu „Miramar". Jest to pokraczny dwupiętrowy malutki domek, przyczepiony do zbocza góry. Na parterze mieszczą się w nim sklepiki, na pierwszem piętrze mieszka rodzina właściciela, na drugiem znajdujemy właściwy hotel. Urządzenie jego jest proste, choć nie pozbawione swoistego wdzięku: długa otwarta weranda, na niej stoliki i krzesełka — to restauracja hotelowa, z werandy szereg drzwi prowadzi



1. Morze pod Manzanillo fot. dr. T. Jaczewski.

---

szłam jak tylko mogłam najprędzej. Byliśmy ze stryjkiem w teatrze. Więc jestem, Gilbercie!

Gilbert powtórzył żywcem scenę z Pygmaljona i Galateji. Z posągu zdumienia przeistoczył się w młodzieńca, któremu dano trudny problemat do rozwiązania.

Zaprosił panienkę do pokoju, wziął miotełkę i zaczął otrzepywać jej ubranie ze śniegu. Ogromna lampa, ocieniona zielonym abażurem zwieszała się nad stalugami, na których artysta szkicował być coś ołówkiem.

— Wezwałeś mnie, więc przyszłam — powiedziała z prostotą Newada. — Prosiłeś w liście, żebym przyszła. O co chodziło?

— Czy... czy przeczytałaś mój list? — zapytał Gilbert chwytając oddech.

— Odczytała mi go Barbara. Ja go widziałam później. Brzmiał tak: „Przyjdź do mojej pracowni, dziś o dwunastej w nocy, nie zawiedź". Myślałam żeś chory, rzecz prosta, ale jakoś na chorego nie wyglądasz.

— Aha! — odetchnął z ulgą Gilbert. — Powiem ci odrazu, poco cię wzywałem, Newado. Chciałem cię prosić, żebyś wzięła ze mną ślub, dzisiaj, natychmiast. Cóż nam szkodzi jakaś mała burza śniegowa? Czy nie masz nic przeciwko temu?

— Zauważyłeś już pewnie dawno, że nie mam nic przeciwko temu — odrzekła Newada. — A burza śniegowa nawet mi się podoba jako dekoracja ślubu. Nic nudniejszego, jak taki ukwiecony kościół i ślub w samo południe. Ach, Gilbercie! Nie przypuszczałam, że będziesz dość odważny żeby oświadczyć się w ten sposób. To dopiero będzie niespodzianka!

— Sztama! — zawołał Gilbert. — Ach! Gdzie ja słyszałem to wyrażenie?! Poczekajno chwileczkę, Newado, muszę zatelefonować tu i owdzie.

Zamknął się w małej ubieralni i wezwał na pomoc siły niebios, zaklęte w nieromantycznych cyfrach.

— To ty, Jack? Ty suśle zaspany! Tak, tak, rozczmychaj się, to ja! Postanowiłem ożenić się w tej chwili. Tak jest. Właśnie. Obudź twoją siostrę. Nic mi nie odpowiadaj! Przywieź tu siostrę. Musisz. Przypomnij Agnieszce, że ją kiedyś wyciągnąłem z jeziora Ronkonkoma. Wiem, że to niegodziwie przypominać długi wdzięczności, ale Agnieszka musi tu przyjechać. Tak, tak! Newada jest tutaj, czeka. Zaręczyliśmy się już dobre kilka minut temu. Trochę oporu ze strony rodziny, uważasz, więc musieliśmy zorganizować to w ten sposób. Czekamy tu na was. Nie pozwól Agnieszce, żeby cię przegadała — przywieź ją koniecznie. Dobrze? Jesteś kochany stary! Wytelefonuję dla was zaraz powóz z remizy, najpośpieszniejszy z pośpiesznych. Dziękuję ci, Jack!

Gilbert wrócił do pokoju, w którym czekała Newada.

— Mój stary przyjaciel, Jack Peyton, miał tu przyjechać ze swoją siostrą na kwadrans przed dwunastą. Ale taki z niego nie-

do maleńkich klitek bez okien: gdy otworzy się drzwi na werandę w „numerach" jest dosyć jasno. Wybieram sobie jedną z tych klitek, umeblowanie prymitywne, jak w więziennej celi, jedyny egzotyczny sprzęt to dziurawa mosquietera nad łóżkiem (muślinowa zasłona). Szukając lampy, podnoszę oczy do góry, lampy nie widzę, ale i sufitu niema także: nademną piękne, zasnute pajęczynami wiązania dachu, krytego dachówką, ściany pomiędzy pokoikami nie dochodzą naturalnie do dachu, cały hotel stanowią właściwie dwie salki przegrodzone szeregiem przepierzeń. Co do lamp, objaśnia uprzejma gospodyni, że są na werandzie przed każdym pokoikiem i, że można w nocy przesunąć ich sznury do wnętrza. Uspokoiło mnie to zupełnie, zjadłem śniadanie i idę nad morze. Spodziewałem się, że będzie bardzo gorąco, boć to przecież port pod 19 stopniem szerokości północnej, temperatura w cieniu dochodzi do 35° C., ale wieje



2. Ulice w Manzanillo fot. dr. T. Jaczewski.

dość silny wiatr, można żyć. Przechodzę przez miasteczko wzdłuż portu, aby się dostać na molo. Manzanillo (po hiszpańsku znaczy to jabłuszko) ma właściwie jedną długą pryncypalną ulicę — bulwar nadbrzeżny, od niego idą w kierunku lądu nieliczne wąskie uliczki, pnące się ostro w górę, parę tylko uliczek trochę szerszych przecina nadmorskie wzgórza i prowadzi wgłąb lądu. Na bulwarze kilka maleńkich restauracyj marynarskich, parę kiosków z lodami i napojami chłodzącemi, parę tak zwanych tiend (tienda — sklep spożywczy, to, co w Warszawie nazywa się sklepikiem), no i wkońcu kilku fryzjerów, sprzedających i papierosy. Z klekotem i brzękiem przejeżdża autobus, idący do Cuyutlanu, kilka osiołków wiezie wodę w naczyniach glinianych, dzieci bawią się na jezdni w piłkę nożną, pod sklepami stoją, jak wszędzie w Meksyku, rozprawiający zacięcie obywatele. Mijam wielkie składy nafty Standart Oil Company i wchodzę na długie molo (pomost) zbudowane z wielkich bloków kamienia; na molo stoję oszołomiony i ogłuszony. Znam już trochę morze, widziałem na różnych szerokościach geograficznych i pogodne i złe, ale nigdzie nie wywarło na mnie takiego wrażenia nieposkromnionej, kosmicznej siły, jak tu w tym nędznym meksykańskim porcie. Schodzę z mola, zbieram na malutkiej plaży i na kamieniach w porcie mięczaki morskie i łapię kraby, przyglądam się wielkim stadom ryb, o jaskrawem ubarwieniu i dziwacznych kształtach. Już druga, trzeba wracać na obiad, po obiedzie czeka jeszcze dużo pracy. Obiad typowo meksykański, dań ze 12, trochę mięsa, trochę ryb, dosyć dużo zupy i jarzyn, obowiązkowy ryż i czarna fasola (fricholes), wszystko z pieprzem, palącym jak pokrzywa. Wypijam całą karafkę wody, filiżaneczkę znakomitej czarnej kawy i w drogę. Łatwo to mówić, ale iść kilka kilometrów o trzeciej po południu, w upale straszliwym, to zadanie nielada. Wiatru już ani śladu, na niebie ani chmurki, oko mimowoli szuka cienia. Chcemy się wydostać aż poza lagunę, czy iść groblą, którą przyjechaliśmy, czy obejść lagunę, idąc zalesionem zboczem wzgórz, oto zagadnienie. Na grobli niema cienia, droga okrążająca lagunę wabi ciemną linją drzew, grobbrzegach niesłychane wprost mnóstwo ryb, woda zresztą brudno ziela, coprawda, znacznie krótsza, ale obawa przed skwarem zwycięża, wybieramy drogę nad laguną Idziemy w cieniu dosyć szybko, zatrzymując się od czasu do czasu i łowiąc zwierzęta w lagunie. Przy brzegach niesłychane wprost mnóstwo ryb, woda zresztą brudno zielona — cuchnie wstrętnie. Na skałach nadbrzeżnych wygrzewają się barwne jaszczurki, z gąszczy przybrzeżnych słychać donośny, jęczący głos jakiegoś ptaka. Po obejściu laguny, weszliśmy wąską ścieżką w zarośla krzaków, które widzieliśmy z okna wagonu. Ścieżka z początku dosyć wygodna, potem stawała się coraz mniej widoczną, wkońcu weszliśmy w taki gąszcz kolących krzewów, że mogliśmy się tylko z trudnością, na pół zgięci, przeciskać pod gałęziami mimoz, czepiających się ubrania i kaleczących ręce. Szliśmy tak w skwarze strasznym i w nienaturalnej pozycji ze 3 kilometry. Nagrodą za zmęczenie był widok stad niebiesko-zielonych, przeraźliwie wrzeszczących papug i czarno-żółtych ptaków — kacyków. Nareszcie krzaki się przerzedziły, wyszliśmy na otwartą przestrzeń i znaleźliśmy na łące zbiornik wody słodkiej, który był celem naszej wycieczki. Zebraliśmy w nim bardzo ciekawy materjał zoologiczny i zlani potem

---

znośny maruda! Zadzwoniłem żeby się śpieszył. Przyjdą tu za parę minut. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, Newado! Ach, słuchaj, co zrobiłaś z listem, który ci dziś posłałem?

— Mam go tutaj — odrzekła dziewczyna, wyciągając pomiętą kartkę z pod wieczorowego okrycia.

Gilbert obejrzał list bardzo starannie. Potem badawczo popatrzał na pannę.

— Czy nie wydało ci się trochę dziwne, żem cię zaprosił do swojej pracowni o północy? — zagadnął.

— Nic podobnego — odrzekła Newada, robiąc wielkie oczy. — Skoro mnie potrzebowałeś. U nas na zachodzie, kiedy towarzysz przyśle gwałtowne wezwanie, to się najpierw przybiega, a wtedy dopiero pyta poco i dlaczego, kiedy całe niebzepieczeństwo minie. To też nie mam do ciebie żadnego żalu.

Gilbert zniknął w sąsiednim pokoju, skąd wyszedł po chwili, obładowany płaszczami, gwarantującemi obronę przed deszczem, śniegiem, wiatrem i wszelkiemi plagami.

— Włóż ten płaszcz — powiedział, trzymając przed nią okrycie — Stąd będzie ćwierć mili drogi. Jack z siostrą wejdą tu za chwilę. — Zaczął pakować się mozolnie w ciężką burkę. — Och, Newado — zawołał nagle — patrz, w dzisiejszej gazecie jest artykuł o waszej okolicy na Zachodzie. Przejrzyj. Pewnie cię to zaciekawi.

Wyczekał całą minutę, udając, że boryka się z płaszczem. Wreszcie odwrócił głowę. Newada stała nieruchoma. Patrzała mu w oczy z dziwną i znaczącą szczerością. Policzki miały rumieniec, o barwie żywszej niż ta, którą nadał im wiatr i śnieg, oczy były jednak spokojne i zdecydowane.

— Właśnie miałam zamiar ci powiedzieć — wyrzekła — zanim ty... zanim ja... zanim my... no, zanim wszystko się stanie. Tatuś nie posyłał mnie nigdy do szkoły. Czytać i pisać nie umiem ani w ząb. Więc wobec tego...

Niepewne i ociężałe dały się słyszeć na schodach bliskie kroki zaspanego Jacka, oraz Agnieszki, płacącej dług wdzięczności.

V.

Kiedy pan i pani Gilbert Warren wracali zwolna do domu w zamkniętym powozie po ceremonji zaślubin, Gilbert zapytał.

— Newado, czy chcesz wiedzieć, co naprawdę zawierał list, który posłałem ci dzisiaj wieczorem?

— Wal prosto z mostu — odrzekła panna młoda.

— Słowo po słowie — odpowiedział Gilbert — brzmiało tak: „Droga Kuzynko! Miałaś słuszność, mówiąc o tym kwiatku. To był nenufar, nie lilja".

— Teraz już wszystko jedno — odrzekła Newada. — Zapomnijmy o tem. Ostatecznie przecież, myśmy zażartowali z Barbary.

KONIEC.

zmęczeni ale zadowoleni, wróciliśmy przy zapadającej już nocy groblą do miasteczka. W pierwszym napotkanym kiosku rzuciliśmy się na refresco (drobno strugany lód z jakimś sokiem n. p. czerwony kwaskowaty „jamaika" z suszonych kwiatów jakiejś rośliny, zielony z tamarindy, lub żółty z ananasów lub pomarańcz). Po refresco powrót do hotelu i kolacja. Ciemną już nocą poszliśmy nad morze, usiedliśmy na molo i długo słuchaliśmy groźnej, przejmującej melodji oceanu. Wróciwszy do Miramar, skonstatowaliśmy, że jesteśmy w hotelu zupełnie sami (trzech Polaków: dwu zoologów, jeden meteorolog), inni lokatorzy wyjechali, uprościliśmy więc w sposób zasadniczy nasze i tak dość nieskomplikowane ubiory i zasiedliśmy do cowieczornej naszej pracy: porządkowania zbiorów i pisania listów. W mieście naopowiadano nam, że hotel Miramar słynie z obfitości wielce jadowitych skorpionów, chociaż więc gospodyni twierdziła, że to plotki konkurentów, zrobiliśmy przed spaniem gruntowną rewizję naszych wspaniałych numerów: skorpionów nie znaleźliśmy, ale zato na szafce nocnej meteorologa złapaliśmy pięknego 4-centymetrowego pajączka. Po polowaniu długo siedzieliśmy na werandzie. Rozsiane na górach, jakby zawieszone w powietrzu światła domów, białe kule lamp ulicznych na tle czarnego, połyskliwego morza, przenikliwe wonie tropikalnych kwiatów, stłumione przez szum oceanu dalekie tony muzyki, wszystko to stwarzało jakiś dziwny nastrój egzotyzmu.

Późną nocą poszliśmy spać, naturalnie ze względu na temperaturę drzwi nie zamykaliśmy. Na drugi dzień rano chodziliśmy po porcie, nadszedł właśnie oczekiwany parostatek japoński. Martwy port zmienił się nie do poznania: tłumy przekupniów sprzedawały na ulicach owoce, orzechy kokosowe i indjańskie słodycze, półnadzy rybacy roznosili świeżo złapane ryby morskie, różnego wieku i płci niebieskie ptaki wtykały przechodniom bilety loteryjne, setki żebraków snuło się wśród tłumu, obnażając swoje kalectwa. Wśród Indjan i nielicznych białych widać było grupki Japończyków, pasażerów statku, marynarzy i oficerów. Pociąg, odchodzący do Colimy był pełny. Ze względu na wielką, jak powiadali kolejarze, ilość towaru, odejście pociągu miało się trochę opóźnić. I rzeczywiście z półtoragodzinnem tylko opóźnieniem, pociąg odszedł „de repente", nagle, bez jakichkolwiek zapowiedzi, tak, że wielu pasażerów musiało już skakać do pociągu w biegu. Pociąg ten wiózł i nas do znanej już nam Colimy.

Tadeusz Wolski.

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO.

WĘGIEL.

Gigantyczny rozwój nowoczesnego życia gospodarczego wysunął na czoło zagadnień ekonomicznych kwestję wielkich źródeł taniej energji. Najpoważniejszem z nich, do ostatniego dziesięciolecia ubiegłego wieku niemal jedynem, był i dziś jeszcze jest węgiel.

Zastosowanie węgla jest bardzo szerokie, gdyż oprócz dostarczania energji potężnemu przemysłowi całego świata, porusza on dziesiątki tysięcy lokomotyw na rozległych szlakach kolejowych, płonie pod kotłami okrętów na wszystkich oceanach i morzach oraz statków, krążących po niezliczonych rzekach i jeziorach naszego globu. Gdzie klimat tego wymaga, służy węgiel do ogrzewania mieszkań i, w postaci gazu lub przerobiony na energję elektryczną, do ich oświetlania. Na ruchliwych ulicach setek miast porusza tramwaje, a nocą płonie w jasnych latarniach. Prócz tego jest węgiel produktem wyjściowym dla niektórych gałęzi przemysłu chemicznego, w szczególności barwnikowego i farmaceutycznego.

Węgiel zajmuje pod względem wartości produkcji i handlu międzynarodowego pierwsze miejsce wśród surowców pochodzenia mineralnego, a z 6 000 000 robotników, pracujących w kopalniach wszystkich części świata, ogromna większość zatrudniona jest w górnictwie węglowem.

Zdawałoby się, że zapotrzebowanie na surowiec, o tak podstawowem dla rozwoju życia gospodarczego znaczeniu, będzie stale w miarę jego rozwoju wzrastać. Z wielu względów tak jednak nie jest i wytrącone z równowagi, przez wojnę światową wydobycie węgla oraz handel nim do dziś dnia nie zdołały ozdrowieć.

Na cenę węgla, będącego artykułem o małej, w stosunku do objętości i wagi, wartości, znacznie wpływają koszty transportu. Przewóz węgla kolejami, na większą odległość, jako zbyt drogi, nie opłaca się — rentuje się zaś dobrze tylko w razie znajdowania się w bliskości kopalń odpowiednich dróg wodnych: żeglownych rzek, kanałów, wreszcie morza. Jednak nawet transport węgla morzem na bardzo znaczne odległości nie dla każdego eksportera jest możliwy. Warunkiem koniecznym opłacalnego wywozu węgla drogą morską jest posiadanie przez statek ładunku powrotnego. Uwidoczni się to wyraźnie na przykładzie najpoważniejszego eksportera tego produktu — Wielkiej Brytanji. Mocarstwo to posiada największą flotę morską ze wszystkich państw świata i przemysł, ustępujący jedynie przemysłowi Stanów Zjednoczonych A. P., zato w rolnictwie zatrudnia, najmniejszy ze wszystkich państw, odsetek ludności. To też W. Brytanja jest importerem surowców dla przemysłu oraz środków spożywczych, sprowadzanych z najbardziej nawet oddalonych części świata. Surowce zajmują na okrętach o wiele więcej miejsca, niż eksportowane artykuły przemysłowe, a więc, gdyby nie posiadany przez W. Brytanję nadmiar węgla, statki angielskie musiałyby próżne opuszczać wybrzeża Europy, odpływając po surowce i środki spożywcze do pozostałych części świata. Zatem wywóz węgla jest nietylko ważnem źródłem dochodów, lecz również jedną z głównych podstaw potężnej żeglugi i rozległego handlu angielskiego.

Anglja, produkująca w 1913 roku 292 miljony tonn węgla (z czego 96 miljonów szło na wywóz), już na długie lata przed wojną światową zdystansowana została w tej dziedzinie przez Stany Zjednoczone A. P., wytwarzające mniej więcej 50% produkcji światowej, która waha się około 1200 miljonów tonn. Stany Zjednoczone, posiadając niezwykle pojemny rynek wewnętrzny, rozwijający się ustawicznie przemysł i komunikacje, zużywały z roku na rok coraz większe ilości węgla, nie troszcząc się o eksport. Podczas wojny i w pierwszych latach powojennych, gdy odcięte od świata i zamieszane w wir walki państwa europejskie nie mogły uczestniczyć na szerszą skalę w handlu światowym, Stany Zjednoczone stały się jedynem źródłem, z którego kraje pozaeuropejskie sprowadzać mogły ten ważny surowiec. Amerykanie z właściwą sobie energją, szybko stworzyli eksportowy handel węglowy, zwiększając produkcję ponad miarę zapotrzebowania. Ponieważ średnia odległość kopalń od wybrzeży morskich wynosi w Stanach Zjednoczonych setki kilometrów, należało odpowiednio zorganizować transport lądowy. W tym celu budowali Amerykanie specjalne „wagony-mamuty", olbrzymie lokomotywy, wielkie urządzenia przeładunkowe w nowych, nieznanych prawie przedtem, portach nad Atlantykiem. I chociaż po częściowem otrząśnięciu się Anglji z powojennych trudności gospodarczych udało się jej, niemal całkowicie, odzyskać dawnych odbiorców, leżących nad Oceanem Atlantyckim, Stany Zjednoczone do dziś dnia z rynków tych nie zrezygnowały i starają się forsować eksport, między innemi drogą subwencyj rządowych. W każdym razie St. Zjednoczone mają wszelkie dane do uzyskania stanowiska głównego dostawcy węgla dla krajów, położonych nad Oceanem Spokojnym, krajów znacznie oddalonych od Anglji, z których wielka republika amerykańska już dziś sprowadza coraz więcej surowców. Obecnie największym odbiorcą St. Zjednoczonych jest sąsiednia Kanada.

Zanim przejdziemy do europejskiej kwestji węglowej wspomnieć jeszcze należy, że do pewnego osłabienia eksportu angielskiego przyczynił się wzrost produkcji własnej, a nieraz i wywozu, w Au-

stralji, Japonji, Indjach Brytańskich, Indochinach Francuskich, Afryce Południowej i Indjach Holenderskich.

Dla Europy, ważnym dostarczycielem węgla prócz W. Brytanji były przed wojną Niemcy, posiadające w Reńsko-Westfalskiem zagłębiu świetnie rozbudowaną sieć komunikacji wodnej, zapomocą której węgiel niemiecki rozchodził się po krajach Europy zachodniej i środkowej oraz przez Rotterdam do Skandynawji — a Genuę i Triest do państw śródziemnomorskich. Inne zagłębia niemieckie miały podrzędne znaczenie wywozowe. Po wojnie Niemcy potrafili eksport węgla znacznie zwiększyć, głównie dzięki systemowi spłacania odszkodowań w naturze.

Polska stanowisko swe, jako 4-ty producent w Europe i 3-ci eksporter węgla na świecie, zawdzięcza przedewszystkiem zwróceniu jej Górnego Śląska, którego wytwórczość wraz z zagłębiem Dąbrowskiem i Krakowskiem znacznie przewyższa zapotrzebowanie kraju, pozostawiając poważną nadwyżkę na wywóz. Po ciężkich latach powojennych nasze górnictwo węglowe dokonało bardzo dużego postępu, gdyż potrafiło, w trudnych warunkach gospodarczych doby dzisiejszej, w ostatnich latach zbliżyć się znacznie do liczb produkcji przedwojennej, zaś podczas trzech kwartałów roku bieżącego przewyższyć ją o 8%. Jest to sukces bardzo poważny, zasługujący na specjalne podkreślenie.

Wytwórczość Polski wynosi obecnie przeszło 40 miljonów tonn rocznie, z czego 30% wywozimy, głównie do krajów skandynawskich (Szwecji, Norwegji, Danji) i bałtyckich, przez Gdańsk i Gdynię oraz do państw Europy środkowej i południowej. Węgiel jest dla nas podstawowym artykułem wywozowego handlu morskiego i na nim opiera się rozwój naszych portów oraz floty handlowej. Przemysł węglowy Polski zatrudnia przeszło 125 000 robotników. Spożycie tego surowca jest u nas o wiele mniejsze niż w innych państwach europejskich, a w niektórych dzielnicach węgiel dla celów opałowych wogóle nie jest używany. To też Polska znajduje się w o tyle szczęśliwem położeniu, że zużycie węgla na jej rynku wewnętrznym będzie stale wzrastać, podczas gdy zagranicą, wobec zupełnego nasycenia rynku (dużego zużycia węgla), możliwy jest nie wzrost, lecz spadek zapotrzebowania. Obserwowany jest on zresztą na całym świecie, a wywołany — przedewszystkiem wzrostem eksploatacji innych źródeł energji, jak nafty, która wyparła używanie stałego paliwa z przeszło 1/3 wszystkich okrętów świata, dalej siły spadków wodnych, wyzyskiwanych na coraz większą skalę nietylko w państwach, posiadających mało, lub pozbawionych węgla, jak Francja, Włochy, kraje skandynawskie, Kanada, Brazylja i t. p., lecz nawet w St. Zjednoczonych.

Jeżeli dodamy do tego, wzrost produkcji węgla w państwach europejskich, przywożących go, tem samem więc spadek importu, oraz oszczędniejsze zużywanie paliwa, dzięki postępowi techniki, to zrozumiemy powody, dla których tak często mówi się dziś i pisze o „kryzysie" węglowym, o potrzebie międzynarodowego porozumienia w tej dziedzinie. Anglja, w której kwestja węglowa łączy się ze sprawami społecznemi, przedewszystkiem z bezrobociem, jest państwem, któremu najbardziej zależy na „pokoju węglowym". Polska—jeden z najpoważniejszych konkurentów W. Brytanji, szczególnie na terenie Skandynawji, nie będzie ze swej strony akcji porozumiewawczej stawiać żadnych przeszkód, bowiem w jej produkcji z roku na rok na znaczeniu zyskiwać będzie rynek wewnętrzny, a eksport, utrzymany chociażby na dzisiejszym poziomie, stosunkowo tracić zacznie swą obecną doniosłość.

Wiesław Arlet.

Z PRZYRODY I TECHNIKI.

„ELEKTRODŹWIĘK".

Nowy radjoinstrument muzyczny.

Dotychczas znany był powszechnie, zapewne i niektórym z Sz. Czytelników, może tylko ze słyszenia t. zw. „Termeuvox", to jest aparat, na którym popisywał się niemal w całej Europie swemi koncertami, wynalazca Rosjanin p. Teremin.

Aparat zbudowany był na zasadzie interferencji, otrzymywanej z równoległej pracy dwóch generatorów lampowych, wysokiej częstotliwości. Częstotliwość jednego generatora względem drugiego była b. bliska. Wysokość muzycznego tonu zależy w tym wypadku od częstotliwości wahań (różnicy częstotliwości obu generatorów) i reguluje się strojeniem jednego z obwodów, przez zbliżanie i oddalanie ręki do małej „miejscowej" anteny. Konstrukcja „Termeuvox'a" jest dość skomplikowana i cały aparat pociąga za sobą większe koszty przy budowie, jak też i jego eksploatacji, — a wykonanie na nim utworów muzycznych wymaga również dużej praktyki i umiejętności.

Oczywiście, dlatego powstaje pytanie o możliwości uproszczenia podobnego instrumentu, któryby przedstawiał w całości duże korzyści, tak ze strony technicznej, jak też i muzycznej.

Opisywany tu nowy typ aparatu pod nazwą „Elektrodźwięk" zbudowany jest na innych zgoła zasadach aniżeli „Termeuvox" — na zasadzie użycia jednej lampy katodowej, jako generatora małej częstotliwości. Wielu zapewne z radjoamatorów zauważyło dość częste zjawisko. mianowicie, że przy pewnych dźwiękach mowy ludzkiej lub tonów muzycznych, przy użyciu wzmacniacza małej częstotliwości, powstaje t. zw. zjawisko „mikrofonowania", innemi słowy słyszymy nieustające wycie, którego wysokość tonu nie zmienia się, mimo kręcenia kondensatorem zmiennym w strojonym obwodzie.

W rzeczywistości, w opisywanym tu aparacie spotykamy się z tymże zwrotnym sprzężeniem, jakie mamy w zwykłym reakcyjnym odbiorniku.

Jak wiadomo, lampowy generator wytwarza oscylacje wysokiej (dużej) częstotliwości. Częstotliwość ta jest b. wielka, więc nie możemy tych wahań usłyszeć, a te wahania, które może uchwycić ludzkie ucho, w porównaniu z częstotliwością radjową są b. małe. Dlatego w „Termeuvox'ie" koniecznem jest użycie dwóch takich generatorów wysokiej częstotliwości o b. zbliżonej fali (częstotliwości), aby z otrzymanej interferencji można było otrzymać wahania małej częstotliwości.

Okazuje się jednak, że powiększając ilość zwojów w cewkach generatora, możemy otrzymać bezpośrednio oscylacje małej częstotliwości (dłuższą falę); częstotliwość tych wahań, a co za tem idzie, wysokość tonu możemy dowolnie zmieniać zgoła prostemi sposobami. Na tej zasadzie, w swoim czasie zagranicą zbudowane były b. skomplikowane klawiaturowe instrumenty, w których każdemu z klawiszy odpowiadały poszczególne generatory lampowe, nastrojone na różną częstotliwość słyszalną, a więc różne tony. Całkowita fortepianowa klawiatura, w ten sposób składała się z 88 generatorów lampowych (!), z bardzo złożonemi członami regulacji, co znów pociągało za sobą duże koszty i niemniejsze rozmiary (radjopianino Gernsbeka).

Bardziej proste urządzenia (np. t. zw. radjotrombon) miały tę ujemną stronę, że otrzymywana skala tonów instrumentu była b. wąską.

W „Elektrodźwięku" użyty jest tylko jeden lampowy generator, który umożliwia regulację częstotliwości (zmianę strojenia) w dużych granicach i daje również możność otrzymywania miłych dla ucha tonów, w granicy nie mniejszej, odpowiadającej 4-rem oktawom, przy szerokiej zmianie timbru i charakteru dźwięków.

Zalety „Elektrodźwięku" w porównaniu z „Termeuvox'em" są następujące:

1. Nadzwyczajna prostota, taniość konstrukcji i przenośne rozmiary.

2. Wielka ekonomja w lampach i źródle prądu, a bezwzględu na to, możność otrzymania tej samej siły dźwięku tylko przy jednej

lampie, zamiast, w najlepszym razie, czterech lamp, koniecznych dla „Termeuvox'a".

3. Łatwość w obsłudze i sposobie grania. Instrument ten nie wymaga żmudnej nauki, lecz tylko posiadania „muzycznego" słuchu.

4. Stałość tonu.

5. Bardziej przyjemny i sympatyczniejszy ton dźwięków, pozbawiony „zaciągania".

6. Możność połączenia z klawiaturą.

7. Niemożność promieniowania w eter — wielki plus, ze względu na miłych sąsiadów, którzy posiadając odbiorniki radjowe, chcieliby słuchać produkcyj radjofonicznych — od czego nie jest wolny „Termeuvox".

Schemat i szczegółowe wskazówki, dotyczące budowy i obsługi „Elektrodźwięku" podamy niebawem.

Jerzy Zieliński.

NIE BĘDZIE JUŻ LOTÓW OCEANICZNYCH BEZ „PRZEPUSTKI" METEOROLOGICZNEJ.

Najciekawsze, najbardziej przejmujące zdarzenia lotnicze ostatnich czasów, to niewątpliwie próby przelotu przez Atlantyk, w których tragiczne laury bohaterswa zdobyli tak niedawno polscy lotnicy.

Wszyscy już rozumieją jak niezmiernie ważną rolę odgrywają w tych lotach warunki atmosferyczne; nasuwa się obecnie niesłychanie doniosłe pytanie: w jakiej mierze możliwem jest przewidywanie tych warunków?

Zagadnienie przewidywania stanów atmosferycznych (czyli naukowe przepowiednie pogody) uległo całkowitemu przeobrażeniu w ostatnich dziesięciu latach. Oto w skróceniu jego historja.

1. *Era lokalna.* Pierwsi meteorologowie pracowali, każdy oddzelnie, nie podejrzewając związku między zjawiskami obserwowanemi przez nich, a tem co się działo gdzieindziej.

Niewielki skrawek nieba, nagły wiatr, zmiany słupa rtęci w barometrze, oto wszystko, co się mieściło w ciasnym ich widnokręgu. Doświadczenie tej epoki ogranicza się do kilku prawd przybliżonych uwidocznionych, oraz do paru prawideł empirycznych, jak naprzykład: wiatr z południa sprowadza deszcz, z północy — śnieg i zimno, albo: wysokie ciśnienie — będzie pogoda, niskie ciśnienie — deszcz.

Całą tę epokę można zakwalifikować jako „erę lokalną" prac meteorologicznych.

2. *Era Europejska.* W połowie XIX wieku nastąpiła w dziedzinie meteorologji prawdziwa rewolucja, która zamiast badań elementów atmosferycznych lokalnych postawiła ich ujęcie synoptyczne, to znaczy, *zestawienie porównawcze* czynników *jednocześnie* obserwowanych. Astronom Le Verrier (ten, który przez rachunek odkrył planetę Neptun), ostatecznie sformułował zasadę *solidarności atmosferycznej.* Istotnie, zaburzenia, które decydują o pogodzie w naszych strefach, są zjawiskami zachodzącemi na ogromnej przestrzeni, trwającemi nieraz kilka dni, a przesuwającemi się z bardzo dużą szybkością (szybkość kurjerskiego pociągu!). Pogoda teraźniejsza w jednem miejscu zależy od pogody przeszłej w innych punktach kuli ziemskiej. W roku 1860 Le Verrier na podstawie swych wniosków założył słynną „sieć meteorologiczną", która polegała na tem, że w większości krajów, powstały placówki, wykonywujące jednocześnie obserwacje i przesyłające je następnie do centrali. Sieć meteorologiczna, jest to więc zespół punktów obserwacyjnych, pracujących jednocześnie, oraz system łączności, umożliwiający szybkie przekazywanie badań.

W ten sposób można uchwycić stan atmosferyczny na dużej przestrzeni, w określonym momencie. Meteorologja weszła w „Erę Europejską, a „sieć" dała początek naukowemu przewidywaniu pogody.

Następcy Le Verriera nie poszli w jego ślady. Zajmowali się mapami izobarów, cyklonów i antycyklonów oraz przedewszystkiem klimatologją i statystyką; zaniedbali natomiast sieć. To też dłuższy czas postęp przewidywań meteorologicznych był bardzo powolny.

3. *Era Światowa.* Zasadniczą rzeczą jest posiadanie wiadomości o stanach atmosfery *rzeczywistych*, a nie *przeciętnych.* To zaś dało się osiągnąć jedynie przez powrót do zdrowej doktryny Le Verriera, a więc przez udoskonalenie sieci. To stało się dziełem meteorologji nowoczesnej.

Sieć obserwacji musi być tak gęsta, by nic ważnego nie prześlizgnęło się między oczkami.

Przytem, ponieważ zjawiska następują po sobie bardzo prędko, przekazywanie wiadomości musi się odbywać w najszybszem tempie.

Pod wpływem konieczności wojennych oraz potrzeb lotnictwa z drugiej strony, sieć została znacznie ulepszona. Ilość stacyj europejskich potroiła się. Radjotelegrafja zastąpiła dawne środki łączności. Ameryka Północna, Afryka Nadśródziemnomorska, Azja Mniejsza, Syberja, Daleki Wschód kojelno przyłączyły się do sieci ogólnej.

Pozostawała jednak zawsze „próżnia nad oceanem". Ta niedostateczność „morska" jest wciąż wielkim brakiem całego tego organizmu. Niespodziane perturbacje z zachodu grożą zawsze Europie.

W każdym razie horyzont meteorologa stał się obecnie „światowym".

Z drugiej strony nieustanne postępy lotnictwa doprowadziły do częstych pomiarów atmosfery w górnych jej warstwach. Sieć zyskała nowy wymiar: pionowy.

Sieć jest w tej chwili organizacją potężną o olbrzymich środkach technicznych. Aby dać pojęcie o olbrzymiej masie tych szyfrowanych depesz, wystarczy zanotować, że serja z godziny 7 rano obejmuje 5.000 grup (z których każda złożona jest z pięciu cyfr), pochodzących z tysiąca stacyj obserwacyjnych. Obserwacje muszą być rozplątane i przeniesione na mapy natychmiast, gdyż „przewidywanie" jest to przedewszystkiem walka szybkości pomiędzy meteorologiem a zaburzeniem!

Francuskie Narodowe Biuro Meteorologiczne wydaje dziennie koło 60 map, które dają jakby obraz kinematograficzny zmieniającej się pogody.

Mapy te przedstawiają już nie *stan ciśnienia*, ale *zmianę ciśnienia.* Są dynamiczne. Porównanie kilku map pozwala ustalić kierunek przenoszenia się jąder zaburzeń na przeciąg 24 godzin. Tem samem można ustalić wiatry, które są zależne od zmiany ciśnienia oraz odpowiedni układ chmur. Struktura systematów chmur jest zawsze jednakowa i ściśle zależna od ośrodków zmiany ciśnień.

Zaburzenia powstają zasadniczo, gdy płat ciepłego i wilgotnego powietrza przedostanie się do masy zimnej i suchej. W miejscach zetknięcia się tych różnych warstw, tworzą się główne masy chmur. Zmiana ciśnienia zaś wywołana jest przez grę zimnego i ciepłego powietrza. Znajomość tego mechanizmu (dość zresztą zawiłego) pozwala ustalić warunki, które sprzyjają nadejściu lub odejściu zaburzenia.

Celem zmniejszenia „próżni oceanu", która była ciągle jedynym brakującym elementem meteorologicznym, a tak pierwszorzędnej wagi dla lotnictwa, Francja zorganizowała w 1921 roku ruchomą stację obserwacyjną na okręcie „Jacques Cartier" zaopatrzoną w środki radjotelegraficzne. Ameryka poszła za przykładem Francji i wkrótce rozpoczęła się sieć meteorologiczna oceaniczna. Ostatnio powstała Międzynarodowa Komisja dla Radjometeorologicznej organizacji Oceanu. Program, przyjęty przez Komisję, przewiduje pod kontrolą biur poszczególnych krajów, 1000 statków, jako punkty ruchome obserwacyjne i stacje nadawcze.

Oczywiście poznanie gruntowne warunków atmosferycznych nad Oceanem, będzie miało wpływ decydujący na powodzenie wypraw lotniczych transatlantyckich. Lotnicy dotychczas przeważnie nie liczyli się dostatecznie z czynnikiem meterologicznym. Wiele lotów przez Antlantyk było przedsięwziętych tylko dlatego, że pogoda w miejscu odlotu była piękna, a nie interesowano się wcale tem, co się dzieje nad Oceanem. Inni próbowali sami stawiać diagnozę na podstawie wiadomości z kilku statków. Nie zdawali sobie sprawy, że obserwacje odosobnione są bez żadnej wartości i że tylko mapy synoptyczne, interpretowane przez fachowców, mogą dać dojęcie o pogodzie, jaką się prawdopodobnie spotka w drodze, a od której zależy los całego przedsięwzięcia.

Lot z Europy do Ameryki jest o wiele trudniejszy niż w kierunku przeciwnym nietylko z powodu stałych wiatrów z zachodu, ale z powodu zawiłego i w niepożądanym kierunku stałego przesuwania się perturbacyj atmosferycznych. Ze względu na te zaburzenia droga na Azory pomimo, że o 600 km dłuższa, jest z punktu widzenia meteorologicznego najlepsza, gdyż odległość geograficzna jest wynagrodzona przez korzystniejsze warunki. Naprzykład w lecie 1927 ani jednego dnia sytuacja nie nadawała się do przelotu szlakiem północnym, dwukrotnie zaś była zupełnie możliwa w kierunku wysp Azorów. W czasie tragicznego lotu naszych lotników sytuacja meteorologiczna była średnia i zupełnie zgodna z przepowiedniami francuskiego Biura Meteorologicznego. Obecnie na plan pierwszy wysuwa się potrzeba bardzo dobrej instalacji meteorologicznej na Azorach, oraz dalsze zgęszczanie sieci oceanicznej. Organizacja radjometeorologiczna Oceanu, naprawdę kompletna, jest jednem z najpilniejszych zadań meteorologji stosowanej. Zbliża się chwila, gdy lot transoceaniczny nie będzie się mógł odbyć bez „przepustki" z Biura Meteorologicznego!

Z KSIĄŻEK.

I.

Do najpoczytniejszych książek ostatnich czasów zaliczyć muszę bezsprzecznie powieść Remarque'a „Na zachodzie bez zmian".

Nie sądzę bynajmniej, ażeby poczytność jakiegoś utworu świadczyć miała o bezwzględnej wartości tego dzieła. Przykładem niech będzie „Dzikuska" Zarzyckiej, która doczekała się wydania kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy, a o wartości jej niech powiedzą ci z myślących i inteligentnych czytelników, którzy książkę tę przypadkowo mieli w ręku.

Poczytność powieści Remarque'a świadczy o pokaźnym zastępie ludzi, którzy ustosunkowują się do życia poważnie, sondują je do najistotniejszych zagadnień i stawiają przed sobą piekące znaki zapytania współczesnego życia, na które niejednokrotnie w męce ducha starają się dać odpowiedź.

Walter von Molo nazwał książkę Remarque'a „testamentem poległych wszystkich narodów dla wszystkich żyjących".

Co zawiera w sobie ten testament?

Humanitaryzm, miłość bliźniego, litość dla nędzy ludzkiej — to pojęcia tak wyświechtane w życiu codziennem, tak nadużywane dla rozmaitych celów, skierowanych niejednokrotnie do wręcz przeciwnych zamierzeń, — że, mówiąc o powieści Remarque'a, boję się ich używać. Jedno wysuwa się na plan pierwszy u Remarque'a — to żądza wydobycia z każdego człowieka pierwiastku człowieczeństwa. To uczucie człowieczeństwa jest dominującem w całej książce. Czy to, kiedy autor siedzi obok umierającego towarzysza swego, Kemmericha, w szpitalu, i stara się go pocieszać, jak matka pociesza biedne, cierpiące swe dziecko, — czy to, kiedy patrzy na poczciwe twarze znękanych i zbiedzonych jeńców rosyjskich zamkniętych drutami kolczastemi od reszty świata, — czy to wreszcie rozmawia z konającym żołnierzem francuskim, którego w nocy, w leju granatnim zaździgał nożem dla ratowania swego życia — wszędzie widzimy to samo uczucie miłości człowieka. „Kolego, nie chciałem cię zabić" mówi do rzężącego w agonji konania Francuza. „Gdybyś raz jeszcze tu skoczył, nie uczyniłbym tego, gdybyś i ty był rozsądnym. Teraz dopiero spostrzegam, że jesteś człowiekiem takim, jak ja". „Czemuż nie mówi się nam i nie powtarza ciągle, iż i wy jesteście tacy sami nieboracy, jak my, i że doznajemy jednakiej trwogi śmierci i jednakie mamy umieranie i jeden ból". — „Wybacz mi kolego, jakże też mogłeś być moim wrogiem".

I oto poza tem, poprzez wszystkie myśli i czyny młodego żołnierza, przewijającemu się uczuciu miłości człowieka, wysuwa się nowe tragiczne zagadnienie ustosunkowania się do przyszłości. „Zabierz mi moje dwadzieścia lat towarzyszu i powstań — weź więcej, gdyż nie wiem już, co mam z niemi począć".

Już w czasie pobytu w domu na urlopie, po trzechletniem zmaganiu się z nędzą ludzką na froncie, widzi nasz bohater, iż zaszła w nim jakaś zmiana. Ogląda swe książki, utwory poetów i pisarzy, którym zawdzęczał niegdyś wiele, — a dziś już one do niego nie potrafią przemówić. Zrozumiał, że dotychczas żył jakiemś zakłamaniem, którem karmili go w szkole okolicznościowi patrjoci i wychowawcy typu prof. Kantorka. Namawiali jego i towarzyszy jego do wstąpienia w szeregi armji wprost z ławy szkolnej, nazywając ich „młodzieżą z żelaza". I „podczas gdy oni wciąż jeszcze pisali i gadali, my oglądaliśmy lazarety i umierających". „I ujrzeliśmy, że ze świata ich nie zostało nic. Nagle w straszliwy sposób zostaliśmy samotni". — „Mieliśmy osiemnaście lat i rozpoczęliśmy miłować świat i istnienie i musieliśmy strzelać do tego. Pierwszy granat, który padł, trafił w nasze serce. Jesteśmy odcięci od tego, co czynne, od dążenia, od postępu".

W potwornem zmaganiu się i rozterce ducha liczą dzień za dniem, a śmierć jest niejednokrotnie wybawieniem, gdyż nie wiedzą, co począć z życiem, jeśli ujdą rąk śmierci. „Dni, tygodnie, lata tu przeżyte, znowu powrócą i nasi zmarli towarzysze powstaną i pójdą z nami, uświadomimy sobie nasze cele, i tak będziemy maszerować, nasi zmarli towarzysze obok nas, lata frontu za nami — przeciw komu, przeciw czemu?".

To zagadnienie ustosunkowania się do życia i jego zjawisk, poza uczuciem głębokiego humanitaryzmu, jest w książce Remarque'a najbardziej rzucającem się w oczy i powtarza się ciągle. „Jestem młody, mam dwadzieścia lat; ale z życia nie znam nic poza rozpaczą, śmiercią, trwogą i spojrzeniem w jeden łańcuch najniedorzeczniejszej płaskości z całą otchłanią cierpienia". — „Cóż uczynią nasi ojcowie, gdy powstaniemy kiedyś, staniemy im twarzą w twarz i zażądamy obrachunku? Czego oczekują od nas, kiedy nadejdzie czas, że nie będzie wojny? Naszem zajęciem poprzez lata całe było robienie trupów: — to był pierwszy zawód w naszem istnieniu. Nasza wiedza o życiu ogranicza się do śmierci".

Mimo tego szarpania się w niemocy wynalezienia odpowiedzi na ustawicznie męczące pytanie: „Co z nami będzie? — „czego od nas oczekują?" — Remarque daje sam odpowiedź w słowach wyszeptanych do umierającego Francuza: ... „jeśli uda mi się wynieść stąd cało me kości, chcę walczyć przeciwko temu, co nas obu rozbiło: tobie życie — a mnie? — Również życie. Przyrzekam ci towarzyszu. *Nigdy nie powinno się to powtórzyć*". I oto skonkretyzowany cel przyszłego życia powojennego: walka z nienawiścią człowieka do człowieka, narodu do narodu. „Nigdy nie powinno się to powtórzyć".

Zatrzymałem się nieco dłużej nad tą przepiękną książką Remarque'a dlatego, że druga wojenna powieść „Wojna" Renna, tak pod względem treści, jak i formy nie wytrzymuje porównania z powieścią Remarque'a.

To główne zagadnienie ustosunkowania się do życia po wojnie, zagadnienie naczelne u Remarque'a, jest w książce Renna prawie pominięte. Nie możnaby z tego robić zarzutu autorowi „Wojny", jako książki o charakterze pacyfistycznym, że ograniczył teren swoich zainteresowań i przesunął platformę swoich odczuć, gdyby przynajmniej to uczucie humanitaryzmu, które jest u Remarque'a zasadniczym prawie czynnikiem jego tendencyj, było i w „Wojnie" wysunięte na plan pierwszy. Tymczasem „Wojna" Renna jest jakby dziennikiem chronologicznie zachodzących wypadków wojennych objektywnie przedstawionych. Bohater Renna nie robi sobie nigdy skrupułów, gdy na zimno morduje Francuzów. Cieszy się z otrzymania orderu „żelaznego krzyża" za waleczność i zakłopotany jest tylko wobec kolegów, kiedy powierzono mu dowództwo drużyny wraz z mianowaniem go podoficerem. Jego uczucia pacyfistyczne i zagadnienia człowieczeństwa przychodzą do głosu dopiero wówczas, gdy Niemcy muszą się w bezładzie cofać i doznają porażki. Mam wrażenie, że w tym wypadku humanitaryzm bohatera powieści Renna, i jego tendencje antymilitarystyczne są podyktowane ciasnym utylitaryzmem okolicznościowym; a jego nadmierna krytyka przełożonych i wrogi do nich stosunek, a zwłaszcza pod koniec 1918 r., jest w ścisłym związku z ogólnemi wypadkami, które spowodowały upadek przedwojennych Niemiec.

Jednak choćby dla zestawienia tych dwu książek: „Na zachodzie bez zmian" i „Wojna", należy przeczytać też powieść Renna.

Romuald H.

ZE SPORTU.

LEKKOATLETYCZNA ZAPRAWA ZIMOWA NA SALI. UWAGI OGÓLNE.

Warunki klimatyczne w Polsce pozwalają zajmować się lekką atletyką na świeżem powietrzu najwyżej do połowy listopada i to przy końcu już tylko w formie biegów na przełaj.. Sportowcy, którzy dbają o swoje zdrowie, z nastaniem chłodów przenoszą się do sali. Tak zwana zaprawa zimowa nie tylko jest przygotowaniem do uprawiania pewnych sportów letnich, jak w tym wypadku: lekkiej atletyki, jest ona zarazem celem samym dla siebie. Ćwiczenia, które przygotowują organizm do większych wysiłków, usprawniają działalność mięśni i kształcą sprawność psychofizyczną, powinny i muszą być jednym ze środków wychowania fizycznego. Jakie zadania ma wychowanie fizyczne? Harmonijny rozwój ciała bez szkody dla intelektu i wzmocnienie organizmu do walki z wszelkiemi niekorzystnemi wpływami świata zewnętrznego. Wzmacniając mięśnie odpowiedniemi ćwiczeniami zmuszamy serce i płuca do większej pracy. Ta praca wyraża się wzmocnionym krwioobiegiem i większem zapotrzebowaniem tlenu. Jeżeli do tego dodamy: pożywienie z odpowiedniemi wartościami kalorycznemi, wystarczającą ilość snu, natryski, masaże, no i... dobrego instruktora, wówczas możemy być pewni dobrego wpływu zaprawy na ćwiczącego. Higjena życia codziennego jest nieodzownym koniecznym warunkiem do osiągnięcia nie tylko mocnych pewnych grup mięśniowych, ale i zdrowia. Podkreślam, że lepiej mieć zdrowie z gorszemi wynikami sportowemi, niż być rekordzistą z grożącą wadą serca lub anemją.

Lekkoatletyczna zaprawa zimowa sprowadza się do przygotowania do biegów, rzutów i skoków. Zajmijmy się biegiem.

Biegi krótkie i średnie wymagają niskiego, błyskawicznego startu. Potrzebne są do tego mocne mięśnie nóg, grzbietu i brzucha, i momentalne wysłanie rozkazu do mięśni. Kwestja przewodzenia ny — strzał startera, jest ważniejszą niż siła. Szybkość startu nerwowego i natychmiastowego reagowania na bodziec zewnętrz- ćwiczy się w specjalnych ćwiczeniach w reagowaniu na znaki i dźwięki oraz w grach sportowych.

Biegi długie wymagają mocnego serca i jaknajwiększej „pojemności życiowej" płuc. Bez względu na wielkość sali zalecane jest bieganie naokoło niej równemi, długiemi krokami w czasie 10 do 20 minut. Rytm oddechu normujemy i zmieniamy co pewną ilość kroków na rozkaz instruktora.

Do biegu przez płotki musimy mieć odpowiednio rozluźnione więzadła i stawy — biodrowy i kolanowy. Prócz ćwiczeń we wszystkich postawach zasadniczych gimnastycznych, można wiele ćwiczeń, bardzo skutecznie rozluźniających, kombinować przy drabinkach szwedzkich, skrzyniach i stołach do skoków. Można również trenować styl brania płotka na autentycznym sprzęcie.

Skok, jako bardzo złożony ruch całego ciała, prócz odpowiednich ćwiczeń nóg, tułowia i ramion, rozbijamy na poszczególne elementy, jak to: odbicie, lot i doskok. Skok wzwyż nie jest trudny do trenowania na sali w formie ostatecznej i zawodniczej. To też należy wyzyskać zimę dla opracowania, używanego przez siebie, stylu, lub poznania nowego. Zamiast piasku można z powodzeniem używać materaca.

Przy skoku wdal, wskutek braku miejsca, należy położyć nacisk na technikę odbicia i pracy ciała w locie, a nie na siłę skoku.

Skok o tyczce, jako mieszany, gdyż odbywa się z pomocą rąk, jest najtrudniejszym. Wymaga silnych: barków, przedramion i mięśni tułowia; pozatem dobrej orjentacji w pozycji głową w dół. Każdy tyczkarz powinien trenować stanie na rękach, ćwiczenia tułowia na przyrządach.

Przygotowanie do rzutów, prócz ćwiczeń zawierających się w zaprawie do pozostałych specjalności, ma swoiste ćwiczenia ramion i postaw, wyjściowych i końcowych rzutów, i fikcyjne rzuty bez sprzętu.

Poruszyłem zaprawę lekkoatletyczną zimową ogólnie, bez wymieniania i szczegółowego opisu ćwiczeń. Bez względu na rodzaj uprawianej konkurencji każdy lekkoatleta powinien oddawać się, choćby w zimie tylko, wszechstronnemu treningowi wielobojowemu. Wyjdzie mu to na dobre w sezonie letnim. Co do uwag technicznych treningu, te streszczają się na: posadzce niefroterowanej, ale odkurzonej, kilku materacach, drabinkach i odpowiedniej wentylacji sali. Wystarczy trenować dw razy na tydzień. Gorąca łaźnia i masaż raz w tygodniu.

Miłosz Stajewski.

NASZA ROZMOWA.

Konkurs „Kto najprędzei?".

Konkurs obejmował trzy pytania: 1. Jaki zawód zamierzasz obrać, 2. Gdybyś pisał książkę, jaki zawód dałbyś głównemu bohaterowi, a jaki głównej bohaterce?, 3. W jakim zawodzie kształcenie się uważasz za najpotrzebniejsze obecnie dla naszego państwa?

W myśl warunków konkursu nagrodę w postaci kwartalnej prenumeraty „Sternika" otrzymują ci, co nadesłali pierwszych dziesięć odpowiedzi. Są to: p. Tadeusz Rojewski z Tomaszowa Mazowieckiego, p. Leonarda Kamińska z Zagożdżona, p. Kazimierz Borkowski z Leśnej Podlaskiej, p. Włodzimierz Pietrzak z Kalisza, p. Stefan Kolano z Szczebrzeszyna, p. Władysław Kulesza z Nowo-Święcian, p. F. Liszkiewicz z Włocławka, p. Fr. Chylok z Mogielnicy, p. Stanisław Ciźla z Kozienic, p. Roland Kiewlicz ze Święcian. A ze stolicy? O hańbo, o wstydzie... ze stolicy nadeszła tylko jedna odpowiedź i to podpisana inicjałami, więc nawet nie wiemy, komu przyznać nagrodę.

Reprodukcję szkicu Noakowskiego za szkłem otrzymuje klasa VII-ma Państwowego Gimnazjum im. Królowej Jadwigi w Pabjanicach, skąd nadeszło 28 odpowiedzi.

Wylosowaną nagrodę w postaci książki Żeromskiego p. t. „Ludzie bezdomni", otrzymuje p. Marjan Baran z Pińczowa.

Treść konkursu omówimy w następnym numerze.

P. Tadeusz Rojewski w Tomaszowie Mazowieckim. Dziękujemy za miłe listy. Wiersza dotąd nie otrzymaliśmy. Odpowiedź Pana na pytania konkursowe jest bardzo poważnie ujęta. Ma Pan słuszność, obierając doktora Judyma za ideał bohatera, gdyż typów o takim charakterze i takiej ofiarności w pracy zawsze będzie w Polsce potrzebna

P. W. D. w Warszawie. Może zechce Pani nadesłać do Redakcji swoje nazwisko i adres, abyśmy mogli zapisać Panią na listę prenumeratorów. Dziękujemy Pani za ocenę Sternika — głosy czytelników zarówno pochwalne, jak i krytyczne oddają nam nieocenione usługi. Przypuszczam, że wkrótce już znajdzie Pani materjał odpowiadający Jej zainteresowaniom — artykuły z dziedziny współczesnej literatury i sztuki. Uwagi Pani co do projektu wprowadzenia działu kobiecego, o co proszą niektóre czytelniczki, są słuszne. Redakcja nie przewiduje narazie wprowadzenia takiego działu, wychodząc z założenia, że wiele pism jest poświęconych życiu praktycznemu kobiet.

P. Leonarda Kamińska w Zagożdżonie. Artykuł Pani umieścimy w następnym numerze, w Kolumnie Młodych Piór. Cieszymy się bardzo tą dyskusją, która może jeszcze dalej się rozwinie.

P. Stanisław Ciźla w Kozienicach. Dziękujemy za życzliwe słowa.

P. Marjan Baran w Pińczowie. Bardzo nas cieszy odpowiedź Pana, gdyż znaleźliśmy tam wiele naszych myśli. W paru innych listach też były odpowiedzi, wskazujące na konieczność podniesienia poziomu rolnictwa w kraju przez poważne ujęcie pracy zawodowej rolnika.

P. Roland Kiewlicz Święciany. Ależ oczywiście, może Pan przysłać do Redakcji najlepsze ze swoich dotychczasowych utworów, jeżeli tylko będą odpowiednie — zamieścimy. Zasadniczo nie chcielibyśmy drukować rzeczy bardzo długich, dwie kolumny (strony) to maksymalny, i to w wyjątkowych jedynie razach, rozmiar artykułów. Niech Pan policzy ilość liter w wierszu „Sternika" i ilość liter w wierszu pisanego przez siebie arkusza; w ten sposób dowie się Pan, ile wierszy pisanych wejdzie w jeden drukowany.

Ma Pan słuszność, że sprawa wydawania „Sternika" w półsztywnej okładce i na lepszym papierze zależy tylko od liczby prenumeratorów — narazie więc czekamy.

W odpowiedziach konkursowych pisze Pan, że kobietom zawód niepotrzebny, ciekawi jesteśmy zdania innych czytelników, a zwłaszcza czytelniczek. Możeby tak otworzyć dyskusję na ten temat w Kolumnie Młodych Piór?

Redaktorzy.

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR.

Czytelnikom, którzy pragną zamieszczać swe utwory w „Kolumnie Młodych Piór" przypominamy, że artykuły muszą być pisane czytelnie i po jednej stronie kartki. Ocenę pracy drukujemy w odpowiedziach działu literackiego. Listownie oceny nie wysyłamy.

GWIEZDNE DROGI.

I.

Gdy niebem błądzę w cichą noc,
Niebem gwiezdnem i szerokiem,
— Z gór do mnie płynie święta moc
Jasnym łun złotych potokiem.

II.

Tam gwiazdy mnie skrzące gonią,
Gwiazdy — i ziemi wspomnienia.
Gdy niebieską płynę tonią —
Nie mogę żyć bez marzenia.

III

A noc płonie roziskrzona,
W przepastnym niebios bezmiarze
Odgłos z Ziemi cichnie, kona,
A ja ciągle śnię i marzę...

Włodzimierz Pietrzak
Kalisz — kl. VII.

PISMA NADESŁANE.

Nsze Życie, miesięcznik wydawany przez Dyrekcję pryw. seminarjum żeńskiego w Złoczowie. (Nr. Nr. 1 i 2).

Pismo to, mimo, że wychodzi dopiero od 15-go października 1929 r., zdołało już wyrobić sobie własną fizjonomję. Każdy numer, wypełniony żywą i ciekawą treścią, świadczy o wysokich ambicjach wychowanek złoczowskiego seminarjum. Miło nam jest pomyśleć, że w zapadłym Złoczowie wychowuje się i rozwija pokolenie przyszłych nauczycielek ludowych, pokolenie, które chce coś powiedzieć o sobie.

Z pośród szeregu artykułów wyróżnić należy rozprawkę p. Heleny Rakowskiej p. t. „Komisja edukacyjna — jako ministerstwo oświaty" (Nr. 1).

Gorzej jest natomiast z wierszami. Jest to jednak ogólna wada prasy prowincjonalnej. Nie należy tylko ustawać w stałem dążeniu do podniesienia poziomu, a „Nasze Życie" może stać się zupełnie dobrem pismem, zwłaszcza o ile wydostanie się z ciasnych nieco ram małopolskiego partykularza — na świat szeroki, w którym również dzieją się ciekawe rzeczy.

Zresztą, nie przesądzajmy. Złoczów jest miastem o pięknych tradycjach literacko-wydawniczych...

Ogniwa, miesięcznik wyd. przez Samopomoce: Państw. Seminarjum Naucz. Męsk., Państw. Sem. Ochron i Miejsk. Sem. Naucz Żeńsk. — w Częstochowie. (Nr. Nr. 1—2 i 3, R. II).

„Ogniwa" wychodzą już drugi rok. Mają już więc swoją tradycję, którą znać na każdym numerze. Podstawą tego rodzaju pisma są stałe działy, które redakcja prowadzi w sposób żywy i zajmujący. Kronika daje nam obraz życia tych wszystkich seminarjów, które wydają „Ogniwa". **Kącik sportowy** przynosi ciekawe i nieprzestarzałe wiadomości z kraju i ze świata.

Ale i o innych działach nie zapomina zapobiegliwa redakcja. Zarówno dział poważnych artykułów dyskusyjnych, jak i beletrystyczny, są reprezentowane przez młode, ale wyrabiające się pióra. Niemal żadna dziedzina życia nie została tu pominięta. „Samorząd w życiu szkolnem", „Nauczyciel na wsi" (Nr. 3), „Co nam daje harcerstwo?", „Rodzina, szkoła i kościół jako czynniki wychowawcze" (Nr. 1—2) — oto tytuły artykułów świadczących, że młodzieży częstochowskiej nie obce są poważne problemy.

W N-rze 3-im zwraca uwagę bardzo dobrze napisany szkic historyczny p. t. „Jedenastego listopada".

I tu jednak gorzej się dzieje z wierszami, choć nie tak źle jak w Złoczowie. Redaktorzy winni jaknajstaranniej przesiewać nadsyłane wiersze, aby „Ogniwa" nie stały się potwierdzeniem znanej opinji o „rymach częstochowskich".

Po tej życzliwej uwadze, załączamy „Ogniwom" życzenia jaknajpomyślniejszego rozwoju.

ODPOWIEDZI DZIAŁU LITERACKIEGO.

P. Włodzimierz Pietrzak, Kalisz.

Z wierszy nadesłanych nam przez Pana, drukujemy „Gwiezdne Drogi". Umieszczamy je jako rzecz oryginalną, nie jako przekład z Klabunda. Wszelki przekład wymaga jaknajdalej idącej sumienności wobec intencji autora — tembardziej jeśli ten autor już nie żyje.

O ile wolno nam sądzić z nadesłanych utworów, pociągają pana tematy niecodzienne i niewyświechtane. Jest to objaw dobry, o ile w parze z nim idzie troska o piękną formę. Zaczynając wiersz trzeba się zdecydować: forma klasyczna (równozgłoskowa), albo forma „dowolna" (jak np. w „Odzie do Młodości"). Decyzja na tę drugą postać w żadnym razie nie powinna wpłynąć na zanik wewnętrznego rytmu, który jest życiem wiersza.

Pisze Pan np.:

...Bezwolny płynę wraz z falą...
A tuż koło mnie
Srebrne słońca się kryształą!

Rytm się u Pana zagubił, a przecież wystarczyłoby przenieść *się* przed *słońca*. „Srebrne się słońca kryształą" brzmiałoby o wiele ładniej.

Drugim błędem Pańskim jest używanie banalnych często wyrażeń, które już nic nie mówią:

„Tam, gdzie pocznie się *ułuda*".

Niezręczne są wyrażenia w rodzaju: „...I tylko perli się dymiąca skroń..."

Tyle co do wiersza „Rymy z piasku", „Pochód Niewolników" bardzo słaby.

Streszczając się: powinien Pan usilnie pracować nad formą, unikając zużytych poetyckich frazesów, które mącą właściwy sens wiersza i nie pozwalają ocenić oryginalności pomysłu.

Amerykanin założył się z Anglikiem, który z nich powie większą niedorzeczność. Stawka była pięć dolarów.

— W Nowym Yorku — zaczyna Amerykanin — był pewien dżentelmen...

— Dosyć, — przerywa Anglik — proszę, oto pięć dolarów.

SKĄPSTWO SZKOTÓW.

Pewien Szkot, jadąc z Londynu koleją, na każdej stacji wysiadał, coś załatwiał, i wpadał zdyszany w ostatniej chwili do przedziału.

Zaintrygowało to pasażerów, jeden więc pyta:

— Panie, co pan ma za sprawy, które wymagają wysiadania na każdej stacji?

— Widzi pan — odpowiada Szkot — będąc w Londynie u doktora, dowiedziałem się, iż stan mego zdrowia jest tak poważny, że nie wiadomo, czy dojadę do domu. Wolę więc kupować bilet od stacji do stacji — gdyż, w razie czego, taniej to wypadnie.

Pewien Szkot dla oszczędności nigdy nie przyklejał znaczków na listy. Bawiąc nad morzem posłał do przyjaciela pocztówkę (oczywiście nieopłaconą): „Mój drogi. Spędzam czas na plaży, opalam się, czuję się zdrów, jak nigdy".

Po paru dniach pod adresem Szkota przychodzi ciężka przesyłka nieopłacona. Bardzo niezadowolony opłaca duże porto i rozwija paczkę. Wypada z niej sporych rozmiarów kamień i kartka ze słowami:

„Mój drogi. Oto kamień, który mi spadł z serca, gdy się dowiedziałem, że jesteś zdrów".

Dział rozrywek umysłowych.

Wezwanie nasze do czytelników o przysyłanie swych zadań do Działu Rozrywkowego „Sternika" — nie odniosło niestety należytego skutku. Nadesłano zaledwie kilka prac, które, począwszy od następnego numeru, zaczniemy umieszczać w naszym Dziale. Zwracamy się więc jeszcze raz z prośbą o nadsyłanie wszelkiego rodzaju krzyżówek, łamigłówek, rebusów itp. Zadania powinny być przepisane czysto po jednej stronie kartki. Po kilku numerach czytelnicy drogą plebiscytu zadecydują, które zadanie było najlepsze. Autor wybranego zadania otrzyma nagrodę w postaci książki.

1. Łamigłówka.



Poniżej podane czarne cząstki tak zestawić ze sobą, aby utworzyły tło dla słowa o siedmiu literach.

2. Kwadrat magiczny.

a	a	a	g
g	o	o	o
ó	r	r	r
r	t	t	u

Ułożył P. Sup. z Warszawy.

Litery wewnątrz kwadratu tak poprzestawiać, aby utworzyły cztery czteroliterowe wyrazy, które można by czytać poziomo i pionowo. Znaczenie wyrazów: 1) część ziemi leżąca odłogiem, 2) masa ziemi, 3) pseudonim poety polskiego, 4) inaczej część.

Rozwiązanie zadań powyższych nadsyłać należy do dnia 1 stycznia. Za najlepsze rozwiązanie obu zadań — nagroda w postaci kwartalnej prenumeraty STERNIKA. Przy rozwiązaniach podać imię, nazwisko, wiek, szkołę i klasę oraz dokładny adres.

KONKURS WSZECHSTRONNOŚCI.

Warunki patrz w numerze 2 Sternika.

II cykl literacki.

1. Podać nazwisko autora i tytuł utworu — z którego zostały wyjęte niżej podane wiersze:

...I najwyższy nie dozwoli Sędzia,
Aby odtąd już na ojców grobie
Nasze dzieci, jak ślepe narzędzia,
Uzbrajano na śmierć przeciw sobie;
Aby miały z myślą rozpaczliwą
Rzucać znowu życia blask różowy,
Że zwiększają przyszłe nieszczęść żniwo,
W proch kładąc głowy.

II. Podać imię, nazwisko i ważniejsze utwory poety — którego krótką charakterystykę drukujemy poniżej:

Urodził się w roku 1825 w Warszawie, gdzie też drukował drobne utwory poetyckie w różnych pismach. Należał do zastępu tych młodych poetów, którzy dążyli do zerwania w swych utworach z tradycyjną przeszłością szlachecką. Umarł w biedzie w roku 1883 w Paryżu.

III. Napisać małą — najwyżej 500 słów liczącą rozprawkę o twórczości Żeromskiego.

Termin odpowiedzi na zadania wchodzące w skład cyklu literackiego upływa dnia 1 stycznia.

Rozwiązanie zadań z numeru 1 Sternika:

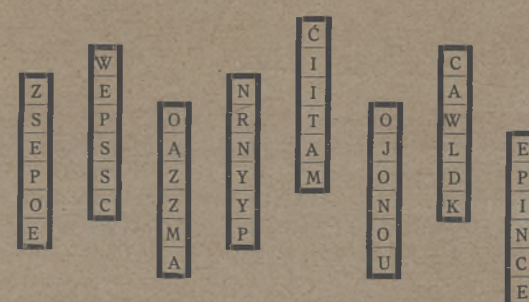
1. Arytmografu.

Mnóż się ty jeden przez czyny żyjące
A będą z ciebie jednego tysiące.

Słowa pomocnicze:

1. przysięga
2. bóżnica
3. trąba
4. marcepan.

2. Przesuwanka.



4. Bilety wizytowe:

1. Dyrektor gimnazjum
2. Przełożona pensji.

Dobre rozwiązanie wszystkich zadań przysłał tylko Jerzy Kowalski VII kl. (gimnazjum niestety nie podał). Otrzyma on w nagrodę latarkę elektryczną. Po nagrodę prosimy się zgłosić do Redakcji we wtorki lub piątki między 5—6 wiecz.

KONKURS DLA LUBIĄCYCH CZYTAĆ.

Jeszcze do 20 grudnia można nadesłać odpowiedzi na pytania z numeru drugiego:

1. Które ze znanych ci książek poleciłbyś do czytania swoim kolegom i koleżankom? Wymień 5—15 tytułów.

2. Jakie pięć książek zakupiłbyś do swojej bibljoteki, gdybyś otrzymał na ten cel pieniądze.

„STERNIK" WYCHODZI PIERWSZEGO I PIĘTNASTEGO KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł., 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł., 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. **Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.**

DRUKARNIA TECHNICZNA, SPÓŁKA AKCYJNA, WARSZAWA, UL. CZACKIEGO Nr 3-5, TELEFON 14-67.